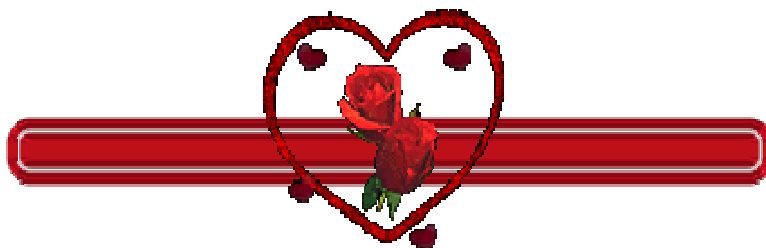




JOAN HOHL



TEN NAJLEPSZY

Tytuł oryginału Window on Tomorrow

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był najbardziej przystojnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

Andrea Trask nie spotkała go nigdy przedtem. A jednak znała go! Całkowicie oszołomiona wpatrywała się w niego przez szybę szerokiego okna kawiarni, do której się zbliżał.

Wyjątkowo wysoki i pociągająco smukły, miał piękne, szerokie ramiona, które jednak nie wyglądały jak góra mięśni. Masywne, męskie dłonie kontrastowały nieco ze szczupłością sylwetki, szczególnie zaś bioder i nóg — długich i proporcjonalnych. Poruszał się z wdziękiem, harmonijnie i płynnie, lecz zarazem zdecydowanie. Ale przede wszystkim przykuwała uwagę jego twarz o klasycznych, perfekcyjnie ułożonych rysach, dla której wspaniałą oprawę stanowiły włosy — czarne, o niebieskawym połysku, faliste i swobodne, jakby uczesane przez wiatr, a także skóra — opalona na brąz — delikatnie lśniąca w promieniach jesiennego słońca.

Tak, to naprawdę był on!

Zatrzymał się i przez chwilę rozmawiał z mężczyzną, który właśnie wyszedł z kawiarni. Andrea zaobserwowała, że dzięki urodzie zwracał na siebie uwagę, przyciągał spojrzenia niemalże każdej osoby znajdującej się w jego otoczeniu. Ona sama nie odrywała oczu od tego, prawie nierealnego w jej odczuciu, mężczyzny. Kiedy mówił, śledziła ruchy jego wspaniale wymodelowanych warg. Westchnęła odruchowo, gdy w przelotnym uśmiechu odsłonił swoje równe, nieskazitelnie białe zęby. Rozpoznała ten uśmiech i — jakby odpowiadając nań — uśmiechnęła się także. Z tej odległości nie mogła dokładnie widzieć jego oczu, ale była pewna, że są ciemnobłękitne i głębokie niczym górskie jezioro. Czula wręcz niesamowitą więź z tym człowiekiem.

„Jak to możliwe? To wprost niepojęte, bym tak nagle spotkała chodzące, żywe wcielenie ideału, który odwiedza mnie w snach od roku!” — pomyślała.

— Niezły, co?

Andrea z wyraźnym ociąganiem — nie była w stanie rozmawiać — przeniosła wzrok na młodą blondynkę, która siedziała naprzeciwko niej przy stoliku.

— Niezły? — powtórzyła, z powrotem wlepiając oczy w mężczyznę za oknem. — Ocenianie tego mężczyzny jako „niezłego” jest równoznaczne z zaklasyfikowaniem Pacyfiku jako sporego stawu! — Ściszony głos Andrei oddawał jej podziw.

— Tak. — Blondynka skinęła głową twierdząco. — v Jego wygląd działa obezwładniająco. — Westchnęła dramatycznie. — Nie wiem, czy kiedykolwiek uda nam się skoncentrować na wykładach, które będzie z nami prowadził.

Ta uwaga wzbudziła zainteresowanie Andrei. Choć niechętnie, przeniosła zaintrygowane spojrzenie na blondynkę, z którą zaprzyjaźniła się wkrótce po przybyciu do Kalifornii.

— Wykładach? Melly, nie rozumiem, o czym mówisz. Jakie wykłady?

Duże, brązowe oczy Melindy Franklin stały się ze zdziwienia jeszcze większe.

— Czy nie widziałaś jego zdjęcia w broszurce wydanej przez college?

Kiedy Andrea potrząsnęła przecząco głową, Melinda wyjaśniła:

— Tym doskonałym wcieleniem marzeń każdej kobiety jest nikt inny, jak Paul Hellka, profesor nauk o ziemi, na uniwersytecie Parker.

Andrea gapiła się na przyjaciółkę, zaintrygowana zarówno informacją, którą ta przekazała, jak i sformułowaniami, których użyła. „Marzenie” — to właściwe określenie na to, czym mężczyzna ów był dla Andrei. „Marzenie, wytwór wyobraźni, kochanek ze snów” Przynajmniej tak do tej pory o nim myślała.

Widząc go jako człowieka z krwi i kości, Andrea doznała dziwnego uczucia. Była zupełnie zdezorientowana. „To zbyt nierzeczywiste — zapewniła samą siebie, walcząc z zakradającym się do jej wnętrza uczuciem paniki. — To nie jest prawda — myślała. — To nie może być prawda. Ten mężczyzna jest tylko podobny do mojego kochanka ze snów. Tak, na pewno”. Puls Andrei stawał się coraz bardziej przyspieszony, czoło dziewczyny zwilgotniało, poczuła, że zaschło jej w gardle.

— Profesor Hellka? — zapytała łamiącym się głosem. Melinda roześmiała się:

— Nie wygląda na profesora, prawda?

Nie ufając swojemu głosowi, Andrea znowu potrząsnęła głową. Tylko ona wiedziała, że gestem tym próbuje oddalić nedorzeczność tej sytuacji. Wmówiwszy sobie, że wystarczy, aby spojrzała na niego znowu, aby naprawdę mu się przyjrzała, a ulży swojemu zszokowanemu umysłowi, Andrea zacisnęła zęby i powoli przesunęła spojrzenie w stronę okna.

Nie ujrzała już go tam. Chodnik przed kawiarnią był pusty.

„Czyżby mi się wydawało?” — spytała się w duchu. Ale nie odpowiedziała od razu. Czyż Melly nie powiedziała jej, kim on jest? Melly! Andrea odwróciła się szybko, aby spojrzeć na przyjaciółkę.

— Dobrze się czujesz? — Melly patrzyła na nią zatroskana. — Zrobiłaś się prawie zielona.

— Tak! Ale... um, ja... — Andrea przetrząsnęła swój ogłupiały umysł, poszukując usprawiedliwienia. — Muszę iść! — wymamrotała, chwytając swoją płócienną torbę. — Bardzo mi przykro, że muszę cię opuścić, Melly, ale właśnie przypomniałam sobie, że jestem umówiona.

— Przecież nawet nie spróbowałaś lunchu! — zaprotestowała Melly, wskazując nietkniętą sałatkę Andrei.

Andrea wyciągnęła parę banknotów i wyslizgnęła się zza stolika.

— Właściwie nie jestem głodna — powiedziała, zarzucając na ramię długi pasek od torby. — Muszę iść. Zadzwoń do ciebie.

Wystartowała jak mała rakietka i przemknęła wzdłuż stolików. Tuż przy drzwiach stanął nagle jak wryta.

Paul Hellka siedział tam, opierając się o przegrodę pierwszej kabiny. Cierpliwie czekał, aż zostanie obsłużony. Widząc go z odległości zaledwie kilku stóp, Andrea nie mogła dłużej unikać prawdy. Miała przed sobą wierne odbicie mężczyzny ze swoich snów. Drżąc balansowała na krawędzi decyzji. Czy powinna wycofać się w kierunku stosunkowo bezpiecznej kabiny, w której zostawiła Melly, czy uciec, przechodząc koło niego?

W momencie gdy Andrea wahała się przed podjęciem decyzji, mężczyzna spojrział wprost na nią. Musiała mocno zewrzeć usta, aby stłumić cichy jęk przerażenia. Jego oczy były ciemnoniebieskie i roziskrzony spostrzegawczym, rozumnym spojrzeniem.

— Cześć — powiedział.

Dźwięk jego głosu podziałał na nią jak silne uderzenie. Brzmiał dokładnie jak we śnie, który znała tak dobrze. Zachwiawszy się pod wpływem silnych emocji, Andrea wymamrotała niewyraźne pozdrowienie i czym prędzej minęła go. Przecisnęła się przez ciężkie drzwi i pobiegła do samochodu swojej ciotki, który zaparkowała przy trzypasmowej ulicy. '

Dwadzieścia minut później Andrea zatrzymała po-wgniatany, niewielki samochód na podjeździe przed willą swojej ciotki — Celi. Nie pamiętała jazdy wzdłuż wybrzeża do domu ulokowanego na wysokim, wznoszącym się nad Pacyfikiem klifie, kilka mil od Carmel. Wciąż ściskając kierownicę, patrzyła bezmyślnie na dom, który z ulicy był ledwo widoczny.

Andrea pokochała go od pierwszej chwili, kiedy tylko się w nim znalazła. Przyjechała do Kalifornii na zaproszenie ciotki w pierwszym tygodniu czerwca, dokładnie dwa tygodnie po skończeniu szkoły średniej w jej ojczystym stanie — Pensylwanii. Z początku planowała spędzić z ciotką parę tygodni i wrócić do Lancaster, do domu.

Oderwawszy obolałe palce od kierownicy, Andrea osunęła się w fotelu. Spotkanie z chodzącym, mówiącym sobowtórem wyimaginowanego kochanka, wyczerpało ją doszczętnie. Nie bardzo mogła zrozumieć to, co zaszło. Coś działo się z jej żołądkiem, wydostanie się z samochodu i dojście do domu okazało się zadaniem prawie ponad jej siły.

— Andrea? — Celia Trask zawołała z patio za jadalnią. — Czy to ty, moja droga?

— Tak. — Andrea rozprostowała ramiona i starannie ułożyła usta w coś przypominającego uśmiech, po czym skierowała się na patio. Uśmiechnęła się szczerze, widząc swoją ciotkę wyciągniętą na leżaku, ubraną w skąpe bikini, wystawiające prawie całe jej wiotkie, dobrze uformowane ciało na działanie promieni słonecznych. Słomiany kapelusz z szerokim rondem osłaniał jej delikatną cerę.

Ciotka Celia sączyła wykwintnie miętową herbatę ze zmrożonej szklanki. Jej natłuszczona, miodowobrazowa skóra błyszczała w słońcu. Chociaż wyglądała najwyżej na osobę dobiegającą czterdziestki, w rzeczywistości miała pięćdziesiąt siedem lat. Myśl o wieku ciotki zawsze zdumiewała Andreę, a fakt, że sama była do niej podobna, sprawiał jej dużą przyjemność. Dzięki przepływowi wszystkich właściwych genów, Andrea szczyciła się taką samą nieskazitelną skórą, delikatną urodą i szczupłą, długonogą sylwetką, co siostra ojca — Celia.

— Co się stało, kochanie? ~ Głos Celi był miękki, a bursztynowo oprawione, orzechowe oczy wyraziste. — Myślałam, że jesz lunch z Melindą.

Na te słowa uśmiech Andrei natychmiast zniknął. Celia była jedyną osobą, która mówiła do niej „kochanie”

— Tak, ale... — Zrezygnowana, wzruszyła ramionami. Nie potrafiła kłamać ciotce prosto w oczy, ale nie mogła również powiedzieć jej prawdy. Andrea zawsze podziwiała ciotkę za otwarty umysł i wolnomyślicielski stosunek do życia.

— Ale...? — przynagliła Celia, badając przy tym jej bladą twarz swoim przenikliwym spojrzeniem.

Andrea westchnęła i wyjaśniła:

— Ale byłam trochę wytracona z równowagi. — Zdecydowała, że powie tyle prawdy, na ile będzie potrafiła się zdobyć.

Celia zwiesiła nogi z leżaka, wstała i podeszła do siostrzenicy. Uniósłszy szczupłą rękę, dotknęła dłonią czoła Andrei, potem przesunęła nią po jej szyi.

— Rzeczywiście, wydajesz się mieć lekką gorączkę. — Celia z troską zmarszczyła czoło. — Możliwe, że złapałaś jakiegoś wirusa od któregoś ze swoich klientów.

Chwytając się pośpiesznie tej wymówki, żeby jakoś uzasadnić swoje niecodzienne zachowanie, Andrea skinęła głową. Ponieważ przez ponad miesiąc pracowała na pół etatu jako ekspedientka, w popularnym butik w Carmel, zarażenie się czymś od jednego z licznych klientów sklepu było prawdopodobne.

— Być może — zgodziła się, zdając sobie sprawę z tego, że prawdziwa przyczyna jej stanu tkwiła w absurdalności wydarzeń, które miały miejsce pół godziny temu. Przypomniawszy sobie znów to dziwne spotkanie, jeszcze bardziej pobladła i zachwiała się pod wpływem nagłego zawrotu głowy.

— Andrea! — Trwoga nadała chrapliwe brzmienie tak zazwyczaj melodyjnemu głosowi Celi.

Chwyciwszy Andreę pod rękę, Celia wyprowadziła ją z patio, zalanego promieniami słońca.

— Położę cię do łóżka — powiedziała, prowadząc nie' opierającą się siostrzenicę do sypialni — a potem zadzwonię po lekarza.

— Nie! — zaprotestowała stanowczo Andrea, raptownie się zatrzymując. — Jestem pewna, że nie potrzebuję lekarza, ciociu — ciągnęła łagodnym tonem, rozpoznając wyraz determinacji na twarzy starszej pani. — Położę się do łóżka, ale nie przypuszczam, żeby doktor był mi potrzebny.

Zgodnie ze swoim charakterem, Celia odmówiła pójścia na ustępstwo bez uzyskania kompromisu.

— Dobrze, nie zawołam doktora, ale nalegam, żebyś została w łóżku, dopóki nie będziesz się czuła zupełnie zdrowa. Zamierzam też zadzwonić do kierowniczkę butiku, aby ją poinformować, że przez parę dni nie będzie cię w pracy. — Wyraz jej twarzy dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie przyjmie żadnych argumentów Andrei. — Zgoda?

Chociaż myśl o takim ograniczeniu swobody była bardzo niemiła, Andrea wiedziała, że nie należy się kłócić z Celią, kiedy maluje się na jej twarzy ten

uparty wyraz. Rozumiała to tym bardziej, że również tę cechę dzieliła ze swoją ciotką. Uświadomiła to sobie teraz z lekkim rozbawieniem.

— Dobrze — zgodziła się z westchnieniem. — Obiecuję, że poleżę, dopóki nie odzyskam dobrej formy. — Zawahała się, a potem dodała: — W każdym razie zostanę w domu, nawet jeśli nie spędzę tego czasu w łóżku.

Będąc dość mądrą, aby rozpoznać wolę równie silną jak jej własna, Celia zgodziła się na ten kompromis skinięciem głowy i wyrozumiałym śmiechem.

— Przypuszczam, że to wystarczy.

Bez wygłaszania typowego dla matron kazania, została z Andrea, dopóki ta nie wsunęła się pomiędzy kwieciste prześcieradła. Potem zasunęła zasłony i wyszła cicho z pokoju.

Andrea drżała. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się we wzór utworzony na ścianie przez te promienie słońca, które zdołały przejść przez zasłony. Bała się zamknąć oczy, bała się zasnąć, bała się...

Zdesperowana, postanowiła nie myśleć o nim. Zaczęła rozpaczliwie szukać jakiegoś bezpiecznego punktu zaczepienia dla swoich myśli.

Dom! To jest to. Będzie myśleć o domu. Przypomni sobie szkolne lata i przyjaciół, z którymi dzieliła mieszkanie.

Wpatrzona w ścianę, Andrea skoncentrowała się na przywołaniu pocieszających myśli. W głowie, jak w kalejdoskopie, układały jej się różne obrazy. Strzępy wspomnień rozbłyskiwały na chwilę, a potem blakły, zastąpione innymi.

Andrea ujrzała siebie jako dziecko, śmiejącą się radośnie, gdy ojciec brał ją na ręce i tulił w swych ramionach. Po chwili obraz się zmienił i zobaczyła siebie szlochającą i zrozpaczoną na pogrzebie ojca. A potem Andrea przeżywała od nowa smutek rozstania z matką, kiedy odprowadzała ją na lotnisko, z którego odlatywała do swojego nowego męża w Południowej Karolinie.

Zamrugła powiekami, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. To wspomnienie wciąż bolało. Była wtedy w pierwszej klasie szkoły średniej. Zbyt przejęta nowymi przyjaciółmi i zajęciami szkolnymi nie zauważyła, jak poważna zaczęła się stawać znajomość matki z jej nowym przyjacielem. Wiadomość o ich zbliżającym się ślubie zaskoczyła dziewczynę zupełnie.

To bolesne wspomnienie pociągało za sobą kolejne reminiscencje z jej młodego życia.

Oto, w całej jaskrawości, pełna łez scena pomiędzy nią a matką, kiedy Andrea zdecydowała, że zostanie w Lancaster, aby ukończyć szkołę wraz ze swymi przyjaciółkami i kolegami z klasy.

Z kolei dzień, w którym zamieszkała z siostrą matki — Irenę. Niestety, mimo troski i dobroci ciotki, tęsknota za domem bardzo jej dokuczała.

Przeskok w pamięci i Andrea na nowo przeżyła dreszczyk emocji, którego doświadczyła, gdy na tańcach w klubie podmiejskim zainteresował się nią przystojny, młody biznesmen z dużą przyszłością. To było wiosną, w ostatnim roku szkoły średniej.

Andrea potrząsnęła głową, starając się odpędzić upokarzające wspomnienia. Nie chciała pamiętać swojej naiwności i łatwowierności, ale to wspomnienie uparcie powracało.

Ten młody człowiek miał na imię Zach, zdrobniale od Zaccheus — imienia biblijnego, znaczącego „czysty i prawy” Tylko że on nie posiadał ani jednej z tych cech, i nie miał też żadnych względów dla młodego wieku i braku doświadczenia dziewczyny.

Przed zakończeniem roku szkolnego Andrea była zakochana. Dopiero później, zbyt późno, zdała sobie sprawę, że Zach jest oportunistą. Na dodatek w jego sposobie uwodzenia nie znalazłaby się nawet odrobina finezji, i tym samym inicjacja Andrei jako kobiety była bolesna i upokarzająca. Ona winiła za to siebie, a Zach arogancko to potwierdził. Polegając na nim całkowicie, Andrea przyjęła jego pogardę bez sprzeciwu. Możliwe że dalej stosowałyby się do jego zasad, ale sam się zdemaskował.

Aby ją przekonać, żeby z nim zamieszkała, Zach powiedział Andrei, że będzie ją zawsze kochał i chronił. Zapomniał tylko powiedzieć, kto ochroni ją przed nim. Andrea mieszkała z nim już prawie rok, pracując na pół etatu nocą i uczęszczając do college'u w ciągu dnia, kiedy — wróciwszy wcześniej z pracy do ich małego mieszkania — zastała go w niedwuznaczonej sytuacji z inną, młodszą dziewczyną. W trakcie kłótni, która nastąpiła po tym, jak Andrea wyrzuciła dziewczynę z mieszkania, Zach ujawnił swój prawdziwy charakter. Po raz pierwszy od początku ich związku stał się brutalny. Uderzył i zgwałcił Andreę. Ale zrobił to pierwszy i ostatni raz. Andrea zakończyła ich związek bez krztyny żalu, za to z gorzką urazą do mężczyzny, za dużą, jak na jej młody wiek.

Nie doceniła jednak Zacha. To on zadał jej ostatni cios. Wyjechał z Lancaster ku bardziej zielonym pastwiskom i zabrał z sobą spadek, który Andrea odziedziczyła po ojcu — miał on pokryć koszty jej studiów. Dziel-

czyna została zmuszona do opuszczenia szkoły i chociaż ciotka Celia zaofiarowała jej pomoc materialną, Andrea uprzejmie, ale stanowczo podziękowała. Postąpiła przecież wbrew radom Celi, decydując się na zamieszkanie z Zachem. Od tej pory Andrea zaczęła sama na siebie zarabiać.

Dopiero kiedy skończyła dwadzieścia cztery lata, miała uzbieraną sumę, potrzebną na wznowienie studiów. Przez lata poprzedzające ten moment pracowała na dwa etaty i obywała się nie tylko bez luksusów, ale także bez wielu niezbędnych rzeczy.

Na wspomnienie kłopotów i samotności, którą sobie wtedy narzuciła, jej oczy wypełniły się łzami. Strach nie pozwalał jej zamknąć oczu, więc patrzyła na ścianę przez łzy i cicho modliła się o koniec bolesnych wspomnień.

Wreszcie, być może przez interwencję sił wyższych, dokuczliwe wspomnienia tych trudnych dni rozproszyły się i zostały zastąpione przez postacie i głosy jej dwóch przyjaciółek, z którymi dzieliła mieszkanie w czasie czterech lat pobytu w college'u. Z przeciągłym westchnieniem ulgi Andrea powitała wspomnienie swobodnego życia wśród przyjaciółek.

Początkowo wydawały się być źle dobranym trio: Alycia Halloran nae Matlock — z nosem wiecznie wsadzonym w książkę do historii, wpatrzona w przeszłość i Karla Janowitz — skrupulatnie dogląająca rachunków domowych, mocno stojąca na ziemi i interesująca się wyłącznie dniem dzisiejszym. I — jako trzecia — ona, Andrea Trask, mglistooka marzycielka, wiecznie wpatrzona w możliwości, jakie roztacza przyszłość.

Niedobre trio? Możliwe. Ale to okoliczności, a nie podobne zainteresowania zadecydowały o ich wspólnym życiu.

Rozwijający się kłębek wspomnień pozwolił Andrei zapomnieć o obawach. Powieki zaczęły ciążyć, aż w końcu opadły. Jej pamięć przeniosła ją o cztery lata wstecz.

* * *

— Jesteś sama?

Słyszając zadane grzecznym tonem pytanie, Andrea podniosła oczy znad lokalnej gazety, a właściwie rubryki pod tytułem: „Pokoje do wynajęcia” Stała nad nią atrakcyjna, młoda kobieta o łagodnych oczach.

— Tak — odparła Andrea. — Czy chciałabyś się do mnie - przyłączyć? — zapytała, rozglądając się wokół.

„ Bufet studencki był wypełniony młodymi ludźmi. Śmiech i gwar rozmów dźwięczał pośród wytapetowanych plakatami ścian. Tylko w kabinie, którą zajmowała Andrea, zostały wolne miejsca.

— Jeśli nie będzie ci to przeszkadzać... — powiedziała z wahaniem, spoglądając na ławkę w kabinie.

— Proszę — uśmiechnęła się Andrea i zapraszającym gestem wskazała ławkę po przeciwnej stronie stołu.

Wydechając wstrzymywane dotąd powietrze, ciemnowłosa dziewczyna rozgościła się w kabinie z widoczną wdzięcznością.

— Cześć — powiedziała i wyciągnęła rękę przez stół. — Jestem Alycia Matlock i umieram z tęsknoty za filiżanką kawy!

Andrea roześmiała się ze zrozumieniem i ucisnęła podaną dłoń.

— Cześć. Jestem Andrea... — Tyle tylko zdążyła powiedzieć, zanim przerwał jej inny damski głos.

— Czy to miejsce jest wolne?

Andrea i Alycia zaskoczone bezpośrednio zadany pytanie, wycofały swoje ręce i spojrzały w górę. Kobieta, którą zobaczyły, była w ich wieku, piękna i — przynajmniej w tym momencie — niecierpliwa. Andrea ponowiła zapraszający gest dłoni.

— Tak — odparła. — Możesz dobić do nas. Ja jestem Portos — zażartowała.

— Atos — podchwyciła Alycia.

— Ja jestem załamana.

Nastąpiła sekunda ciszy, w której kobiety oglądały się nawzajem. Potem wybuchnęły spontanicznym śmiechem.

— Przepraszam, jeśli zabrzmiało to obcesowo — powiedziała trzecia kobieta, kiedy ucichł śmiech. — Jestem Karla Janowitz — ciągnęła, podając obu pozostałym rękę — i naprawdę jestem przybita, znajduję się na granicy depresji.

— To się rozprzestrzenia — skomentowała uczenie Alycia.

— Myślę, że także miałam kontakt z tym wirusem — westchnęła Andrea.

Rozległ się znowu ten sam, spontaniczny śmiech. Gdy ucichł, Karla, rozejrzawszy się po zgromadzonym wokół tłumie, zapytała:

— Czy mamy jakieś szanse na to, że zostaniemy obsłużone?

— Marne — zaczęła Alycia.

— Albo żadne — skończyła Andrea.

— Ale ja jestem strasznie spragniona! — jęknęła Karla, opadając na oparcie kabiny. — Cały dzień latałam po mieście, szukając pokoju.

— Choćby niszy — wtrąciła Alycia.

— Nawet szafy — podsumowała Andrea.

— Wy też? — Karla przeniosła spojrzenie z Alicii na Andreę, potem potrząsnęła głową. — Powinnam była chyba darować sobie niezależność i od razu starać się o miejsce w akademiku.

— To samo przyszło mi do głowy — wyznała Alycia.

— Także mi — dorzuciła Andrea.

Karla i Alycia spojrzały na Andreę i wkrótce wszystkie trzy znowu się śmiały.

— Wiecie, gdybym była świadkiem tej sceny, wywnioskowałabym, że my trzy sprawiamy wrażenie żywcem wziętych z komedii braci Marx — zauważyła w chwilę później Karla.

— To lepsze, niż użalanie się nad sobą — odparła Andrea. — To byłoby takie... takie...

— Niedojrzałe? — pomogła jej Alycia.

— Otóż to.

— Właśnie.

— Ale muszę przyznać — ciągnęła Alycia — że miałabym ochotę trochę się porozczulać nad sobą. Jak... jak, pytam was, udało mi się przekonać samą siebie, że znalezienie pokoju to będzie pestka?

— Mnie nie pytaj! Jadę na tym samym wózku — stęknęła Karla.

— Z pogiętymi osiami — uzupełniła ponuro Andrea.

— To i tak zbyt optymistyczny opis — zauważyła Karla. — Czy wy wiecie, co ja takiego zrobiłam? — Nie czekając na odpowiedź, Karla ciągnęła: — Wyobraźcie sobie, że umówiłam się na obejrzenie mieszkania! Do diabła, przecież przy moich oszczędnościach nie stać by mnie było na utrzymanie kawalerki, a co dopiero mieszkania z trzema sypialniami!

— Z trzema sypialniami? — Andrea pochyliła się do przodu, wyraźnie zainteresowana.

Alycia podchwyciła jej myśl:

— Umówiłaś się?

Karla również pojęła o co chodzi.

— Czy myślicie, że to może się udać? — zapytała z nadzieją w głosie.

— Jeżeli włożymy w to serca i głowy — powiedziała Alycia z zapalem.

Obie dziewczyny patrzyły teraz na Andree. Andrea uśmiechnęła się, potem wzruszyła ramionami.

— Myślę, że będziemy się z sobą zgadzać.

I rzeczywiście. Przyjaźń, która tego dnia związała trzy kobiety, nie tylko przetrwała cztery lata college'u, ale przerodziła się w więź równie mocną, jak między najbliższymi sobie siostrami. ...

Wspomnienia przemykały przez głowę Andrei jak strony wertowanej książki. Czasy śmiechu, czasy trosk, czasy racjonowania makaronu z serem trzy razy w tygodniu pod koniec każdego miesiąca.

Karty pamięci stawały się coraz wyraźniejsze. Andrea poruszyła się niespokojnie w łóżku. Przypomniła sobie wydarzenia ostatniej wiosny, którą jeszcze spędziły razem, zanim się rozstały. Wróciła pamięcią do strachu i niepokoju, jaki obie z Karłą czuły na wieść o tym, że w czasie wiosennych ferii Alycia została ranna w wypadku samochodowym, który zdarzył się jej po drodze do Williamsburga.

Potem karta pamięci przewróciła się i Andrea westchnęła z ulgą. Ona i Karla śmiały się, płakały i obejmowały nawzajem na wieść o tym, że po blisko miesiącu niebezpiecznego balansowania na krawędzi śpiączki Alycia odzyskała wreszcie pełną świadomość. Radowały się, kiedy Sean Halloran — mężczyzna, w którym Alycia zakochała się na zabój zaledwie tydzień przed niefortunnym wyjazdem — przywiózł ją do domu ze szpitala.

Delikatny uśmiech zagościł na ustach Andrei, gdy przypomniła sobie niesamowitą historię, którą Alycia opowiedziała im po powrocie.

Kiedy raz po raz zapadała w stan nieświadomości, leżąc w szpitalnym łóżku w Richmond w stanie Virginia, Alycia czuła się jakby złapana w coś w rodzaju spirali czasu, która przeniosła ją do osiemnastowiecznego Williamsburga. Jakby to nie było dostatecznie dziwne, Alycia twierdziła, że poznała tam mężczyznę, oficera Konnej Formacji Wywiadowczej stanu Virginia, dołączonej do oddziału przybocznego generała Waszyngtona. Mężczyzna ten w dodatku był sobowtórem Seana Hallorana i nazywał się Patrick Halloran. Alycia utrzymywała również, że — co zresztą było do przewidzenia — zakochała się w Patryku, a on w niej. Jednak musieli się rozstać, gdy skończyła się ważność przepustki Patryka. Alycia oczekiwała wieści o bitwie, na którą wyruszył jej ukochany, znając właściwie jej wynik. Bitwa ta rozegrała się pod Brandywine Creek.

Bardzo podekscytowana, z wielką powagą opowiadała Andrei i Karli o tym, jak wieści o porażce Waszyngtona pod Brandywine i jego wycofaniu

się pod Valley Forge dotarli do Williamsburga. Otrzymano również wiadomość o śmierci majora Patricka Hallorana. Łzy lśniły w przepelnionych bólem oczach Alicji, kiedy mówiła o swej rozpacz. Łzy napłynęły również do oczu Andrei.

— Nie byłam w stanie pogodzić się z myślą, że los mógłby być tak okrutny i pozwolić mi pokochać i stracić dwa razy tego samego mężczyznę. Szalałam z rozpacz. Późno w nocy wymknęłam się z domu i osiodłałam konia, zdecydowana odszukać Patricka lub jego grób. Nie mogłam dostać się do Seana. Zostawiłam go w dalekiej przyszłości. Ale wiedziałam, jak trafić do Brandywine. Musiałam znaleźć Patricka! — Oczy Alicji pozostawały szeroko otwarte, ale spojrzenie miała nieobecne. — Godzinami jechałam przez noc. Rozpętała się burza. Przestraszony koń pognął prosto do lasu graniczącego z drogą. Uderzyłam głową o nisko rosnącą gałąź i wyrzuciło mnie z siodła. Wołałam Seana i Patricka. Kiedy się obudziłam, siedziałam na łóżku w szpitalu w Richmond, a Sean przytulał mnie do siebie tak mocno, jakby bał się, że gdy mnie puści, zniknę i nigdy już mnie nie odnajdzie.

Karla, nieugięta realistka, pozostała sceptyczna do końca opowieści. Kiedy Alicja zakończyła ją dramatycznym pytaniem: „Czy to się wydarzyło naprawdę, czy też były to tylko halucynacje?”, Karla zdobyła się na słowa otuchy, które zabrzmiały bardzo trzeźwo i raczej chłodno.

— Oczywiście, że wszystko to ci się przyśniło, Alicjo. W dodatku jest to usprawiedliwione. Przecież przed samym wyjazdem do Williamsburga tygodniami wnikliwie studiowałaś bitwę pod Brandywine'Creek. W dodatku nie muszę ci przecież przypominać, że tydzień przed odjazdem spotkałaś i pokochałaś Seana. Wreszcie w wyniku wypadku doznałaś obrażeń głowy. — W uśmiechu Karli pojawił się cień wyższości, który obie jej przyjaciółki tak dobrze znały, a nawet lubiły. — Rozumiem, że w tych okolicznościach sen mógł ci się wydawać bardzo prawdziwy. Ale jestem całkowicie przekonana, że był to tylko sen.

Głęboko poruszona opowieścią Alicji, Andrea nie podzielała pewności Karli, historia ta wywarła na nią jakiś dziwny wpływ.

— Sama nie wiem — powiedziała miękko, ocierając bez zakłopotania łzy płynące po policzkach i ściskając mocno dłoń Alicji. W odpowiedzi na pogardliwe prychnięcie Karli dodała bardziej zdecydowanym głosem:

— No, bo kto właściwie może powiedzieć z całą pewnością, że podróżowanie w czasie jest niemożliwe?

— Poddaję się! — Zrezygnowana Karla przewróciła oczami i skierowała się do drzwi. Ale przystanęła w progu i uśmiechając się pobłaźliwie, powiedziała: — Całe szczęście, że naprawdę za wami przepadam, inaczej nie wytrzymałabym z dwiema takimi ekscentrycznymi wariatkami jak wy! — Roześmiała się i wyszła, a jej śmiech słyszeć było jeszcze, gdy schodziła po schodach.

Wspomnienie znajomego śmiechu Karli odbiło się echem w głowie Andrei, przywołując na jej usta senny uśmiech. Różne obrazy pojawiały się i znikaly. Znalazła się na ślubie Alycii i Seana, który miał miejsce pewnego pięknego majowego ranka.

„Niedobre trio” rozpadło się, bo każda musiała pójść w swoją stronę. W kilka godzin po ceremonii ślubnej Alycia i Sean odjechali — obsypani śmiechem i ziarenkami siemienia — ku miejscu, które wybrali na swój miesiąc miodowy. Zanim upłynął tydzień, Andrea i Karla skończyły się pakować i sprzątać mieszkanie. Przy pożegnaniu, które obie bardzo silnie przeżywały, popłynęły obfite łzy, rozmazując tusz na rzesach. Karla pojechała do Sedony w Arizonie, aby zająć się prowadzeniem galerii, której założenie pograżyło ją w długach. Andrea zaś udała się do ciotki Irene, mieszkającej w Lancaster, aby z niecierpliwością oczekiwać odpowiedzi na swoje podanie o pracę w NASA.

List odmowny dostała tydzień po zamieszkaniu u Irene, a wyprzedził go list z zaproszeniem od ciotki Celia.

Bezrobotna, bez konkretnych planów na przyszłość, Andrea z miejsca przyjęła to zaproszenie. Pod koniec początkowo dwutygodniowej wizyty Celia zaproponowała Andrei dłuższy, a właściwie bezterminowy pobyt. Teraz lato miało się już ku końcowi. Andrea pracowała dorywczo i zapisała się na studia podyplomowe na tutejszym niewielkim, ale cieszącym się dobrą opinią college'u.

Wspomnienia zaczęły się mącić i rozplýwać we mgle nadchodzącego snu. Jednak nawet pograżona w półśnie Andrea czuła wielki żal. Całe jej studia były ustawione pod kątem aeronautyki; bardzo pragnęła pracować w zespole NASA, planującym przyszłe badania kosmosu.

Ale nad tym wspomnieniem nie zatrzymywała się już zbyt długo. Wracalo znów do niej to, przed czym chciała uciec.

Więcej niż rok temu, tęskniąc często za męskim towarzystwem, a jednak bojąc się zaufać komukolwiek, Andrea wymyśliła sobie kochankę, mężczyznę o doskonałym wyglądzie i charakterze, innego niż wszyscy. Sny

o nim wydawały się jej często równie prawdziwe, jak dla Alicji rzeczywisty był jej sen w szpitalu. Mimo to Andrea nigdy, przenigdy nie rozważała możliwości spotkania swojego wymyślnego kochanka na jawie.

A jednak dzisiaj, będąc zupełnie przytomna, ujrzała go na własne oczy. Co więcej, przyjaciółka powiedziała jej, jak mężczyzna ten się nazywa.

To niemożliwe. — Cicho wzdychając Arjreda próbowała wyrwać się z objęć snu. W końcu jednak uległa. Rzeczywistość ustąpiła miejsca ciemnotom, a potem marzeniom sennym. Andrea znalazła się w dobrze znanym jej miejscu. Zewsząd otaczała ją mgła. Z oddali wyłoniła się zamazana postać, zbliżająca się długimi, spokojnymi krokami. W miarę przybliżania się postać zaczęła przybierać kształty wysokiego i niewiarygodnie przystojnego mężczyzny. Jego uśmiech rozniecił w duszy Andrei płomyk. Jego głos był dla niej słodką pieszczotą:

— Witaj, skarbie.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Wyciągnął do niej rękę. Bez obawy przybliżyła swoją i pozwoliła by ich palce się splotły. We śnie Andrea go znała. Spotykali się w ten sposób już od roku; zawsze wyglądało to tak samo: wyłaniał się z mgły, wyciągał rękę, a ona dawała mu swoją. Każdy sen zaczynał się dokładnie tak samo. Ten jeden był inny.

Powiedział do niej „skarbie”

Andrea wiedziała, że to sen, tak jakby jakaś część jej umysłu wciąż pozostawała świadoma. I to właśnie ona zaniepokoiła się, dlaczego użył akurat tego określenia?

Jak w poprzednich snach, mężczyzna wstąpił na wąską ścieżkę pośród trawy.

Poczucie niepewności rosło w nieuśpionej części umysłu Andrei: wyglądało na to, że po raz pierwszy nie do końca zapadła w sen. Starła się obudzić, odpędzając wizerunek mężczyzny i ścieżki, którą chciał ją prowadzić.

Ale śniące „ja” było silniejsze, kazało jej jednym, niecierpliwym ruchem głowy odrzucić w tył czarne włosy i podążyć za kochankiem, który uśmiechnął się ze zrozumieniem do opierającego się, świadomego „ja”. Jego oczy zdawały się posiadać blask pradawnej mądrości.

— No, chodź. Przecież chcesz. — Jego głos brzmiał cicho, łagodnie, kojąco. — Ulegnij pragnieniu, potrzebie i pożądaniu, które tak starannie ukrywasz.

Podczas gdy jej śniące „ja” stało się nieme, czekające — „ja” świadome staczało wewnętrzną bitwę. Andrea wiedziała, że zgoda będzie równoznaczna z utratą kontroli nad sobą, a może i zagubieniem własnej osobowości.

Zakończył jej rozterki, szepcząc jedno słowo, które było zarazem propozycją, prośbą i żądaniem:

- Chodź.

Nie potrafiła się już dłużej opierać. Sen zawładnął nią całkowicie.

Natychmiast zmienił się senny krajobraz. Mgłę zastąpiło promienne słońce. Dobrze znała tę scenerię. Rozpoznawała nierówny, urozmaicony drzewami teren i ścieżkę, która była akurat tak szeroka, aby mogli iść ramię przy ramieniu.

Spacerowali, trzymając się za ręce, aż wyszli na niewielką, wysłaną trawą polankę, ocienioną konarami ogromnego drzewa, wymyślnie powyginanymi przez wiatr. Pociągając za sobą Andreę, mężczyzna przewrócił się na trawę, oparł plecami o wiekowy pień i wziął ją w swe ramiona.

Westchnawszy z zadowolenia, Andrea usadowiła się między jego udami i wsparła głowę na jego piersi.

— Czy cieszysz się teraz, że uległaś? — Oddechem muskał jej włosy nad czołem; jego bliskość drażniła zmysły Andrei.

— Tak.

— I jesteś teraz szczęśliwsza? — W jego głosie pobrzmiewała nutka rozbawienia, jakby znał już odpowiedź.

Andrei wcale to nie przeszkadzało, podzielała nawet to rozbawienie.

— Och, tak!

— Więc i ja jestem szczęśliwy.

Przez chwilę siedzieli bez słowa, zasłuchani w rytm swoich serc. Andrea słyszała szum niespokojnego morza, wyraźniejszy w ciszy, która teraz zapadła. Usłyszała i rozpoznała ten dźwięk już podczas pierwszego snu, a jednak przez cały rok ani razu nie zobaczyła jego źródła. Sen zawsze rozpoczynał się we mgle, na początku ścieżki i kończył na polance pod starym drzewem. W tym ocienionym zakątku prowadzili z sobą długie rozmowy. Będąc razem, śmiali się swobodnie.

Kiedy Andrea wracała do rzeczywistości, przechowywała wspomnienie drzewa, polanki, szmeru odległego morza i swego mężczyzny w ściśle strzeżonym zakamarku serca. Nauczyła się myśleć o nim jako o swoim wyobrażeniu ideału męskiej doskonałości.

W ciągu zimowych miesięcy, kiedy sny układały się w jeden ciąg, Andrea nabrała do niego zaufania. To zaufanie i fakt, że nagromadzone sny powoli zaczęły się wydawać bardziej realne niż sama rzeczywistość, powodowały, że Andrea w końcu się w nim zakochała. To z kolei nadało jej snom nowy wymiar: wymiar oczekiwania.

Wszystkie jej świadome i podświadome pragnienia dotyczyły ostatecznego oddania mu się bez reszty. Zajmując się codziennymi sprawami i prezentując swoim przyjaciołom wizerunek Andrei, którą znali, żyła tylko nocami, tylko dla tych cennych chwil spędzonych z nim.

Dziwiło ją, że chociaż jej sny stawały się coraz bardziej erotyczne, a jego pieszczoty co noc bardziej śmiałe, to jednak nigdy nie przekroczył ostatecznie

granicy, nie zaspokoił tęsknoty, która wypełniała jej myśli tak we śnie, jak i na jawie.

Teraz, zanurzona w sen, Andrea dała wyraz tym skrytym pragnieniom jednym cichym westchnieniem.

— Andrea?

Jego długie, eleganckie palce gładziły ją po udach z delikatnością muśnięcia piórkiem.

— Hmm?

Odpowiedziała na pieśczołę mrużeniem, wtuliwszy się w niego mocniej.

— Dlaczego wzdychasz, najdroższa? — Aksamitne palce podążały wzdłuż zarysu jej sylwetki, poruszając się od krągłego biodra w górę, do ramienia i dalej, ku szyi.

Andrea uśmiechnęła się i potarła policzkiem o wierzch jego dłoni. Zaczął ją nazywać „najdroższa” w noc po jej przyjeździe do Kalifornii.

Zachwycona tym pieśczołliwym określeniem, uniosła lekko głowę i wysunęła delikatnie wargi, żądając pocałunku. Nagrodził jej odwagę, całując ją i szepcząc czułe słowa. Jej ciało zaczęło prężyć się z pożądania, a z ust wyrwało się ciche westchnienie.

Pokusa narastała w niej coraz bardziej, aż wreszcie poddała się jej.

— Kocham cię — wyszeptała.

Jego palce oplotły wygiętą w łuk szyję Andrei, niski głos przepełniony był męskim czarem: -

— I to sprawia, że wzdychasz?

Andrea nie wiedziała, w jaki sposób ma mu powiedzieć o tym, jak bardzo pragnie stopić się z nim w jedno; zdesperowana, wykrzyknęła:

— Przecież nawet nie znam twojego imienia!

— Na imię mi: Miłość — wymruczał, przysuwając usta to jej ust. — Twoja Miłość.

Olśnienie spłynęło na Andree. Oczywiście! To ona go stworzyła, wyplatając marzenia z nici samotności i tęsknoty. Należał wyłącznie do niej. Był na jej usługi.

— Moja Miłość — westchnęła Andrea, sprawdzając, jak imię to zabrzmie w jej ustach.

— Tak. — Otarł jej wargi swoimi. — Potrzeba tylko dwóch słów, najdroższa. Wymów te słowa, a otworzę przed tobą drzwi do raju — ciągnął niskim, prawie niesłyszalnym głosem. — Wymów te słowa.

Żadna wątpliwość, żadne pytanie nie powstało w głowie Andrei. Znała magiczne słowa. Nie zawahała się ich użyć, dodając od siebie jeszcze dwa kuszące słowa:

— Kochaj mnie, moja Miłości.

Nie było niezręcznych chwil ani kłopotliwego szamotania się przy rozbieraniu. Ponieważ w świecie snu nie obowiązują ograniczenia i prawa zwykłej rzeczywistości, ubrania po prostu zniknęły z ich ciał. W jednej chwili Andrea leżała przy nim na trawiastym kobiercu, drżąc pod wpływem nowego, podniecającego doznania, jakim był dotyk jego nagiej skóry.

Wyczuwała subtelną zmianę w sposobie, w jaki ją pieścił. Właśnie ta różnica sprawiała, że Andrea płonęła.

Jego ręce głaskały jej drżące ciało z delikatnością wyrażającą uwielbienie. Każdy dotyk, każde muśnięcie, każda pieszczota podsycaly płomienie ogarniające jej zmysły. Eteryczna lekkość tego dotyku drażniła nerwy ponad wszelką wytrzymałość.

Jego wargi i język penetrowały jej spragnione usta z wielką śmiałością, co stanowiło podniecający kontrast z delikatnymi pieszczotami. Usta miał chłodne i silne, a pocałunki, którymi ją obdarzał, były gorące i mokre, pochłaniające, zachłanne, ofiarne. Jego zanurzający się i wycofujący, napierający i penetrujący, namiętny język zmuszał do podjęcia wyzwania, więc teraz ona przejęła inicjatywę.

Czuła tak silne pragnienie zjednoczenia się z nim, że objęła biodra kochanka i prowadziła je między swoje rozpalone uda.

On również przesunął ręce z jej napiętych, sterczących piersi ku uniesionym biodrom. Jego bezdenne niebieskie oczy patrzyły prosto w oczy Andrei, kiedy wsuwał pod nią ręce. Podniósł ją wyżej, na spotkanie ze swoimi drżącymi z pożądania biodrami.

Andrea krzyknęła z rozkoszy w tej samej chwili, w której on zanurzył się w jej ciele. Zadrżeli oboje. Odniosła dziwne wrażenie, że stanowi z nim jedność, że stopili się jakby w jeden organizm. Trwali tak przez chwilę oszołomieni, a potem Paul powoli zaczął się ruszać. Jęcząc i drżąc od przeszywających ją doznań, Andrea przywarła jeszcze mocniej do jego naprężonego ciała. Jej kurczące się palce i wbijające się w jego ciało paznokcie wciągały go głębiej i głębiej, ku samemu sercu jej namiętności.

Napięcie.

Andrea nigdy przedtem nie doświadczyła potęgi napięcia, narastającego wewnątrz ciała. A ono rosło, rozkwitało, ogarniało jej mięśnie, nerwy i umysł. Błagała, żeby to się już skończyło... i modliła, by trwało wiecznie.

Kiedy napięcie wybuchło, została uniesiona w świat eksplodujących uczuć i doznań, w świat nieziemskich, oślepiających kolorów. Raj.

Jego kochany głos, wypowiadający jej imię w radosnym okrzyku triumfu, był ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszała.

Andrea straciła przytomność.

Znów ocknęła się we śnie. Jej Miłość była z nią, w niej, była jej częścią. Delikatny wietrzyk pieścił ich złączone ciała. Odległe morze śpiewało serenadę dla zakochanych.

— Kocham cię! — Andrea drżącymi palcami głaskała jego jedwabiste, zwilgotniałe od potu włosy.

— Wiem. — Uniósł głowę, aby uśmiechnąć się do jej zamglonych namietnością oczu. - Tak jak zawsze wiedziałem, że tylko we dwoje można osiągnąć absolut.

— Tak. — W ułamku sekundy Andrea zrozumiała, że tylko z nim mogła czuć się jak w niebie.

— Tak. — Jego oczy wyrażały zrozumienie, jak gdyby słyszał jej myśli.

— Proszę — szepnęła głosem pełnym pragnienia — kochaj mnie znowu.

— Robię to. — Obdarzył ją uśmiechem zawierającym nieskończoną czułość. — Zawsze to robiłem.

— Zawsze? — Przyjrzała mu się zdziwiona.

— Zawsze. — Nagle stał się bardzo poważny. — Od momentu twojego stworzenia.

Mojego stworzenia? Andrea zmarszczyła brwi. Z pewnością miał na myśli moment, w którym ona stworzyła go w swoim umyśle.

— Ale...

Jego cierpliwy i wyrozumiały wyraz twarzy sprawił, że słowa, które chciała wypowiedzieć, zastąpiło pytanie:

— Moja Miłość?

— Tak — wyszeptał. — Zawsze twoja miłość. Andrea nie rozumiała. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Westchnęła z zadowolenia. Jej westchnienie przeszło w pomruk protestu, kiedy wycofał się z niej.

— Jestem tu — powiedział, wtulając ją w niebo swoich ramion. — Jesteś bezpieczna.

„Do rana" — Ta myśl zasiała ziarenko niepewności, oddzieliła Andreę od śniącego „ja". Ranek oznaczał obudzenie się, które z kolei pociągało za sobą spotkanie twarzą w twarz z...

Andrea zadrżała, gdy to wspomnienie przeniknęło do jej świadomości.

— Andrea?

Obie jaźnie Andrei usłyszały jego głos. Był taki sam, jak głos mężczyzny, którego spotkała w kawiarni. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego przed nim ucieka, dlaczego tak boi się realizacji swoich marzeń.

Wtargnięcie ziemskich problemów do uśpionego umysłu odebrało jej spokój. Poruszyła się nerwowo.

— Powiedz mi.

Nie musiał mówić więcej — ona zrozumiała. Potrafił tyle przekazać w tych dwóch cichych słowach.

— Widziałam dzisiaj twój fizyczny wizerunek. Andrea obróciła się w jego ramionach, aby zobaczyć, jak zareaguje.

Obdarzył ją czułym, lecz enigmatycznym uśmiechem.

— I ten widok tak cię przygnębił?

Przesunął palcami po jej rękę, muskając ją ledwie w tej pieszczocie.

Andrea drgnęła, zdumiona intensywnością dreszczy, przez to wywołanych.

— Byłam... zaszokowana — przyznała. — Nigdy nie spodziewałam się spotkać kogoś choćby trochę podobnego do ciebie, nie mówiąc już o twoim lustrzanym odbiciu! W dodatku dowiedziałam się, że to profesor prowadzący jeden z kursów, na które zamierzałam chodzić tej jesieni!

— Zamierzałaś? — Nie podniósł głosu i nie przestał się uśmiechać. — Czyżbyś zmieniła zdanie na ten temat?

Aż do tej chwili Andrea nie zdawała sobie sprawy z tego, że rzeczywiście zmieniła zdanie.

— To nie jest konieczne, naprawdę. — Jego bezdenne niebieskie oczy błyszczały skrywanym rozbawieniem.

Andrea zamrugła z wrażenia. Zapewnił ją o tym, zanim powiedziała mu o swojej decyzji! Czyżby umiał czytać w jej myślach?

— To... to nie jest konieczne? — spytała zachrypłym szeptem.

Jego uśmiech i oczy wyrażały czułość.

— Nie, Andreo. Nie musisz się niczego obawiać ze strony Paula Hellka.

Znał jego nazwisko! Skąd? Nagle zaniepokojona, Andrea poderwała się i zaczęła biec ścieżką z powrotem ku rzeczywistości i bezpieczeństwu jej świadomej jaźni. Jej serce zabiło mocniej, gdy zawołał ją po imieniu.

— Andrea!

Andrea gwałtownie usiadła na łóżku. Jej oczy były szeroko otwarte i wilgotne od łez.

— Andrea, obudź się! — zawołała Celia.

Andrea mrugnęła. Jej ciotka siedziała na brzegu łóżka. Głaskała ją po ramieniu, po tym samym, które on głaskał.

— Co... co się dzieje? — Andrea czuła ucisk w gardle. — Czy coś się stało?

— Nie, nic — powiedziała uspokajająco Celia. — Wszystko w porządku, kochanie. To był tylko sen.

Tylko sen! Dreszcz przebiegł jej przez plecy, palce zacisnęły się w pięści. Tylko sen. Jej Miłość. Kochanie się...

Tylko sen? Mocując się z histerycznym śmiechem, patrzyła w zatroskane oczy Celi.

— Która godzina? — Andrea zdziwiła się, że jej głos zabrzmiał tak normalnie.

— Prawie szósta — odpowiedziała Celia, mrużąc oczy, aby przyjrzeć się dokładnie twarzy Andrei. — Już nie jesteś taka blada. Czujesz się trochę lepiej?

To pytanie zaskoczyło Andreeę. Przypomniała sobie powód, dla którego usnęła w środku dnia. Prawie szósta! Wróciła do domu około pierwszej! Wciąż lekko zdezorientowana nagłym wytrąceniem ze snu, Andrea musiała się skupić, aby ocenić stan swego samopoczucia.

Jej uśmiech wypadł blado.

— Myślę, że tak, ale nie jestem jeszcze pewna, jeszcze się na dobre nie obudziłam.

— Jesteś głodna?

Głodna? Znowu musiała się zastanowić. Uczucie pustki gdzieś pośrodku tułowia uświadomiło jej, że jednak jest.

— Bardzo! — zawołała ze zdziwieniem. Celia westchnęła z ulgą:

— To dobrze! — Wstając poklepała dłoń Andrei. — Obiad będzie za parę minut. Masz trochę czasu, mogłabyś wziąć prysznic... gdybyś miała na to ochotę — dodała, przystanąwszy w progu.

— O, tak. — Andrei udało się zdobyć na naturalny uśmiech. — Dziękuję, ciociu!

Starsza kobieta zaśmiała się:

— Za co?

— Po prostu za to, że jesteś moją ciocią Celią — odpowiedziała Andrea, jej oczy zaszyły łzami.

W oczach Celii, tak bardzo podobnych do oczu Andrei, odmalowała się przyjemność wywołana przez te słowa.

— Często czuję się bardziej twoją matką niż ciotką — powiedziała drżącym ze wzruszenia głosem. — A jeszcze częściej chciałabym nią być. — Pociągnęła nosem, zaśmiała się i potrząsnęła niecierpliwie głową. — Weź teraz prysznic, a ja podam obiad. — Odwróciła się, ale zawołała jeszcze przez ramię: — Jeśli się pospieszysz, to możesz wymieszać sałatkę!

Andrea schowała głęboko w sobie resztki podniecającego, choć niespokojnego snu, wstała z łóżka, wygładziła pościel i poszła do łazienki.

Pokrzepiona rozmową z Celią, Andrea zdołała odsunąć od siebie myśli o intrygującym śnie.

Kiedy sprzątały ostatnie naczynia, Andrea zawołała:

— Ciociu! Czy nie miałaś dzisiaj jeszcze obiadu z Blaine'em?

— Tak — odpowiedziała Celia bez cienia żalu w głosie. Nie spojrzawszy nawet na Andree, nadal ostrożnie wkładała talerze do zmywarki. — Ale nie chciałam zostawić cię tutaj samej, więc zadzwoniłam do niego i odwołałam to. .

— Tak mi przykro — wymamrotała Andrea ze skruchą.

Wyprostowując się, Celia spojrzała na nią i powiedziała:

— To jeszcze nie koniec świata. Prawdę mówiąc, Blaine był zachwycony, chociaż starał się to ukryć. — Uśmiechnęła się filuternie.

Andrea uznała tę uwagę za nieprawdopodobną. Od dnia ich spotkania oczywiście było, że Blaine Parker i Celia są sobie przeznaczeni.

— Doprawdy? — spytała, obdarzając ciotkę sceptycznym uśmiechem.

— Tak, doprawdy. Możesz więc przestać czuć się winna. Widzisz, mój telefon trafił na najodpowiedniejszy moment dla Blaine'a. — Celia podeszła do małego, narożnego barku i wyjęła z niego szmaragdowozieloną butelkę.

— Wstaw to do lodówki, proszę — powiedziała, wręczając butelkę Andrei.

— Nie rozumiem. — Andrea z roztargnieniem wstawiła ją do lodówki.

— Nie potrafię sobie wyobrazić Blaine'a zachwyconego z powodu odwołania randki z tobą. I dlaczego chłodziś wino po obiedzie? — zapytała, spoglądając to na ciotkę, to na lodówkę.

Melodyjny śmiech Celii zatańczył w miękkim, wieczornym powietrzu.

— Pozwól, że ci to wyjaśnię — powiedziała, podchodząc do Andrei. — Blaine był zachwycony, kiedy odwołałam naszą randkę, bo niespodziewanie

wrócił dzisiaj do miasta jego przyjaciel. — Celia objęła Andreę w pasie i poprowadziła ją na patio. — A chłódzę wino dlatego, bo Blaine zamierza przyprowadzić do nas po obiedzie swojego przyjaciela. Masz jeszcze jakieś pytania? — Uścisnęła lekko Andreę i usiadła na drewnianą ławeczkę.

— Jedno — odparła Andrea i popatrzyła po sobie. Nie spodziewając się tego wieczoru gości, ubrała się w sandały, trykotową spódnicę i jaskraworóżową koszulkę bawełnianą. — Czy wyglądam jako tako?

Przez chwilę Celia wyglądała na zaskoczoną, a potem niemal zakrztusiła się śmiechem.

— Jako tako?! Kochanie, z twoim wyglądem i figurą wyglądałabyś atrakcyjnie nawet w zgrzebnym worku! — Zrobiła w powietrzu gest, którym objęła twarz i sylwetkę Andrei. — Mogę jedynie powiedzieć, że jestem zadowolona, iż Blaine wydaje się być uodporniony na twoje wdzięki, chociaż wyraźnie je docenia. Co do jego przyjaciela — wzruszyła ramionami z przewrotnym uśmieszkiem — to będzie on musiał sam dać sobie z tym radę.

Andrea poczuła przyjemne ciepło satysfakcji. W pełni doceniała swoją fizyczną atrakcyjność, ale nie była z tego powodu zarozumiała. Zdawała sobie sprawę, że dziedziczyła swoją wyjątkową urodę po kobiecie, która teraz patrzyła na nią oczyma przepełnionymi dumą i miłością.

— Nic nie wiem o tym drugim mężczyźnie — powiedziała — ale jestem absolutnie przekonana, że odporność Blaine'a na wdzięki innych kobiet wypływa z jego głębokich uczuć do ciebie. Nawet ktoś zupełnie niespostrzegawczy musiałby zauważyć, że Blaine jest w tobie bardzo zakochany.

— Hm, tak, nawet nie próbuje ukryć tego, co do mnie czuje. — Głos Celi był niski i rozmarzony. — Ale przecież ja też za nim szaleję. — Ułożyła się na miękkiej leżance, uśmiechnęła do Andrei i, zamknąwszy oczy, oddała myślom o mężczyźnie, którego kochała.

Idąc ku krawędzi patio, Andrea przesunęła rękę po gładkiej, drewnianej barierce, otaczającej cały dziedziniec, i zapatrzyła się na rozciągający się przed nią ocean. Przystanąła na szczycie paru niskich stopni, prowadzących do małego, zamkniętego ogrodu. Spojrzała na Celię i delikatny uśmiech przyozdobił jej usta.

Ciotka nadal leżała rozmarzona i Andrea uznała, że nie ma sensu jej przeszkadzać, toteż czując potrzebę ruchu po spędzeniu całego popołudnia w łóżku, zeszła po schodkach.

Mały ogródek odbijał idealnie osobowość Celi — był schludny, ale nie przesadnie; dobrze rozplanowany, ale nie sztuczny. Stanowił hołd złożony obfitości natury, mimo że nie przeładowano go roślinami.

Poddając się kołyszącemu rytmowi szumiącego, spokojnego oceanu, Andrea spacerowała wąską, żwirową ścieżką i rozmyślała o tej uroczej kobiecie, która powitała ją w swoim domu i życiu z otwartymi, kochającymi ramionami.

Dla Andrei ukochana ciotka była wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju osobą.

Celia Trask nigdy nie wyszła za mąż, ale wiedziała, co to miłość. Wkrótce po tym, jak przeprowadziła się z Pensylwanii do Kalifornii, chcąc rozwijać swoją karierę w stosunkowo młodej wówczas dziedzinie informatyki, Celia zakochała się w przystojnym, ale żonatym mężczyźnie. Mężczyzna ten miał zmienne usposobienie i chociaż odwzajemniał miłość Celi, był moralnie i prawnie związany z matką dwojga swoich małych dzieci.

Własne wychowanie wpoilo jej głębokie poszanowanie dla zasad moralnych, więc Celia rozumiała i szanowała jego postawę. Przez dwadzieścia dwa lata pracowała z nim, śmiała się z nim, kochała go. Ich miłość nigdy nie została skonsumowana... ona po prostu istniała.

Wiara Celi w tego mężczyznę była tak silna, że już na początku ich związku zainwestowała każdego dolara, jakiego posiadała lub mogła pożyczyć, w jego przełomowy wynalazek — mały, niedrogi komputer osobisty. Ogromna inwestycja wiary uczyniła z niej w rezultacie kobietę niezależną finansowo.

Mimo to Celia nadal pracowała jako jego asystentka w firmie, która niemalże z dnia na dzień stała się ogromnym przedsiębiorstwem. Po jego śmierci, cztery lata temu, utraciłszy zarazem przyjaciela i pracodawcę, Celia opuściła Silicon Valley i zamieszkała w swoim domu na wzgórzach u wybrzeża Pacyfiku, na południe od Carmel.

Była to bezpieczna przystań, która jednak nie ukryła jej przed Blaine'em Parkerem i jego zalotami.

Na tę myśl Andrea głośno się roześmiała. Lubiła tego wysokiego, obytego mężczyznę od chwili, kiedy Celia jej go przedstawiła.

Będąc człowiekiem o surowych rysach, smukły i lakoniczny Blaine nie bardzo pasował do powszechnego wyobrażenia o przystojnym mężczyźnie. Nie przypominał też z wyglądu typowego naukowca. A jednak był właśnie

naukowcem i rektorem niewielkiego, ale uznanego College'u Parkera — instytucji, której nazwa pochodziła od nazwiska jego dziadka.

Ciotka scharakteryzowała Blaine'a jako wyjątkowo wytrwałego i nieugiętego naukowca. Od niej Andrea dowiedziała się również, że poprzedniej jesieni Blaine zauważył Celię w restauracji w Carmel i poprosił ich wspólnego znajomego o przedstawienie go pięknej pani. Zanim przedstawienie dobiegło końca, Celia zaskarbiła sobie jego przyjaźń.

Blaine powiedział Andrei, że — przynajmniej dla niego — była to miłość od pierwszego wejrzenia. To pierwsze spotkanie najwyraźniej nie wywarło takiego samego wrażenia na Celi.

Wciąż wierna pamięci jedyne go mężczyzny, którego kochała, Celia oddaliła od siebie wszelkie myśli o Blainie, gdy tylko zszedł jej z oczu. Ale Blaine okazał się być . wytrwałym człowiekiem.

Celia z rozbawieniem opowiedziała bratanicy o swoich wysiłkach oparcia się jego zalotom - o tygodniach dzwonienia, pisania i dosłownego snucia się za nią Blaine'owi udało się wreszcie zdobyć zainteresowanie, a w końcu i uczucie Celi.

Dreszcz przebiegł przez plecy Andrei, gdy wspomniała nutę zdumienia brzmiącą w głosie ciotki, kiedy ta wyznała jej, że nigdy tak naprawdę nie wierzyła w potęgę miłości fizycznej, dopóki Blaine jej przed nią nie odkrył. Dreszcz nasilił się, gdy słowa Celi odbiły się echem w głowie Andrei:

— To było jak umieranie i rodzenie się w jednej i tej samej chwili.

Wówczas Andrea nie uwierzyła jej. Żyła z mężczyzną, ale ani razu nie doznała w związku z fizycznym aktem, który miał podobno wyrażać miłość, żadnych uczuć poza zakłopotaniem, wstydem i rozczarowaniem.

Tego popołudnia po sennym przeżyciu Andrea zdobyła inny punkt odniesienia i głębokie, duchowe zrozumienie zapewnień Celi.

„Czy na pewno?” — zastanawiała się. Przecież jej przeżycie było tylko snem.

Tylko snem.

Z głową wypełnioną szumem mruczącego morza Andrea pragnęła się zdrzemnąć i spotkać swoją Miłość. „Tylko sen?”

Znów przeszył ją dreszcz. Aby go stłumić, objęła się ramionami i zawróciła. Ale jeśli to był tylko sen, to wystarczyłoby położyć się spać, aby przeżyć to jeszcze raz. Rozchmurzyła się, kolejne dreszcze wywołane zostały czymś zupełnie innym.

On powiedział: „Zawsze” Jej Miłość tak powiedziała. Myśli Andrei zostały rozproszone przez ostre światła samochodu, który właśnie wjeżdżał na podjazd.

Goście Celi przybyli.

Otrząsnąwszy się z rozmyślań, Andrea przyśpieszyła kroku. Wchodziła właśnie po schodach, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Gdy przechodziła przez patio, usłyszała głos Blaine'a. Drugi znajomy męski głos zatrzymał ją w miejscu. Z oczyma rozszerzonymi przerażeniem Andrea wpatrywała się w twarz swojego kochanka ze snów, mężczyzny, którego spotkała w kawiarni.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Jego oczy zdawały się przenikać jej duszę. Czując się dziwnie zawieszoną w czasie i przestrzeni Andrea stała jakby przybita do podłogi.

W tej wyizolowanej chwili wszystko nabrało absolutnej wyrazistości. Andrea wyostrzyła słuch i wzrok, pełna napięcia obserwowała scenę przed sobą.

Widziała, jak swobodnie i po przyjacielsku witają się Celia i Blaine oraz ten trzeci, słyszała wyraźnie każde słowo, jakie między sobą wymienili. A jednak jej uwaga skupiona była na obcym, którego w innej rzeczywistości tak dobrze знаła.

Nie mogła uwierzyć w to podobieństwo. Człowiek, który — jak wiedziała — był profesorem Paulem Hellką, wyglądał zupełnie jak jej kochanek stworzony przez wyobraźnię.

Nawet jego sposób ubierania się odpowiadał temu, który pamiętała ze snów. Wąski pas i biodra oraz długie, foremne nogi były wyraźnie widoczne dzięki dopasowanym, wytartym džinsom. Robiony na drutach pulower z dekoltem w kształcie litery V podkreślał szerokość ramion i pozwalał zerknąć na wspaniałe, poskręcane i jedwabiste, czarne włosy na piersi. Drogie, ale zniszczone adidasu uzupełniały niedbały ubiór.

Dość długie, fantazyjnie rozczochrane i lekko pofalowane czarne włosy nie zaznały najwyraźniej szczotki od czasu, kiedy Andrea go widziała. Jego niewiarygodnie niebieskie oczy miały taki wyraz, jakby wszystko już widziały.

Dostrzegł Andreę całą wieczność wcześniej niż pozostali.

— O, jesteś, Andrea! — zawołał Blaine, gdy spostrzegł ją w progu. — Chodź, poznaj mojego przyjaciela.

Zbierając do kupy swoje wirujące zmysły, Andrea zmusiła drżące nogi, aby zaniósły ją do salonu. Udało jej się nawet ułożyć usta w słaby uśmiech.

— Poznaj doktora Paula Hellkę — powiedział Blaine. — Paul, to ta młoda dama, o której ci opowiadałem. Bratanica Celi — Andrea Trask.

„Doktor? — zastanawiała się Andrea. — Doktor w jakiej dziedzinie?”

— Bardzo mi przyjemnie, panno Trask.

Dźwięk tego głosu wibrował w jej głowie. Jak to możliwe? Jak to możliwe, że jego głos był dokładnie taki sam, jak głos mężczyzny, którego stworzyła z samotności? Czując się dziwnie nierealnie, Andrea wyciągnęła rękę w odpowiedzi na jego gest.

— Doktor Hellka — ochryplym szeptem powtórzyła słowa Blaine'a. Dotyk dłoni Paula wywołał w niej lawinę sprzecznych z sobą doznań. W niewytłumaczalny sposób czuła się zarówno uspokojona, jak i ożywiona. Wycofanie ręki w naturalny sposób wymagało od niej skoncentrowania całego opanowania, które jeszcze posiadała.

Jego uśmiech był hipnotyzujący.

— Będzie mi miło, jeśli będzie mnie pani nazywać Paul.

— Jeśli wolisz... Paul — Andrea wymamrotała z wahaniem w głosie — proszę, mów mi: Andrea. — Spojrzała w jego oczy i natychmiast znalazła się na pełnym morzu najgłębszego błękitu.

Głos ciotki okazał się kołem ratunkowym, dzięki któremu nie utonąła.

— Wieczór jest zbyt piękny, aby siedzieć w domu — powiedziała Celia. — Zaprowadź Paula na patio, skarbie, a my z Blaine'em przyniesiemy wino i kieliszki.

Mrugając rozpaczliwie, aby wydostać się spod uroku jego oczu, Andrea wzięła głęboki oddech i skierowała się ku szklanym drzwiom.

— Oczywiście — odpowiedziała i zwilżyła wyschnięte wargi. — Tędy proszę, do... Paul. — Nie sprawdzając, czy za nią podąża, szybkim krokiem ruszyła na patio. Zatrzymały ją dopiero schody, prowadzące do ogrodu. Drżała na całym ciele, jej oddech był płytki i nierówny. Nie minęła sekunda a Paul stanął obok niej. Poruszał się bezszelestnie.

— Skarbie.

Jego szept zmieszał się z powiewem wieczornej bryzy. Prawie bezdźwięczne mruknięcie wywarło na Andrei piorunujące wrażenie i wyrwało z jej ust krzyk:

— Co?! — Obróciła się gwałtownie, żeby na niego spojrzeć. ,

Paul uśmiechnął się, a Andrea stłumiła westchnienie.

— Tak zwróciła się do ciebie ciotka — wyjaśnił aksamitnie miękkim głosem. — „Skarbie”. Podoba mi się to.

— Czy... czyżby? — Jej głos był ledwo słyszalny.

— Tak.

Walcząc z dezorientującym poczuciem nierealności, Andrea wysiliła się na naturalną odpowiedź.

— Ciocia Celia jest jedyną osobą, która mnie tak nazywa.

Nawet kiedy to mówiła, Andrea słyszała echo męskiego głosu, jego głosu, mówiącego: „Witaj, skarbie” Bojąc się pokazać po sobie zmieszanie, jakie wywołało to echo, zwróciła się ku oceanowi.

— Czy jest ci zimno? — zapytał cicho Paul, dając do zrozumienia, że jej niepokój został zauważony.

— Nie! — zaprzeczyła zdecydowanie. — Ja... Nie — powiedziała Andrea już spokojniejszym tonem. — W ogóle nie jest mi zimno.

Przed samą sobą przyznała, że jest zmrożona niedowierzaniem i przypuszczeniem, że może traci zdrowy rozsądek.

— Andrea.

Andrea zeszywniała, jej serce zatrzymało się na jeden takt. Paul wymawiał jej imię z dokładnie taką samą intonacją, co...

„Nie! — chwyciła się kurczowo myśli. — To nie jest możliwe!”

Cały jej intelekt i rozsądek mówiły, że to po prostu niemożliwe, aby Paul i wymyślony przyjaciel byli jednym i tym samym mężczyzną. Nawet sam taki pomysł wydawał jej się dziwaczny. Zbyt dziwaczny, żeby się nad nim zastanawiać.

— Tak? — Przytrzymując się barierki, Andrea odwróciła głowę i spojrzała na niego.

Jego uśmiech odebrał jej tę odrobinę trzeźwego myślenia, jaka w niej jeszcze pozostała.

— O ile wiem, zapisałaś się na mój kurs nauk o ziemi w semestrze jesiennym.

— Umm... tak, zapisałam się, ale... — Jej głos zamarł pod intensywnym spojrzeniem niebieskich oczu.

— Ale...? — ponaglił ją Paul.

Zmieszana i roztrzęsiona, Andrea powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej wpadła do głowy:

— Nie jestem całkiem pewna. Możliwe że wrócę na wschód... do domu.

— Andrea! — Celia wykrzyknęła od progu. — Co ty mówisz? — Niosąc butelkę wina w jednej ręce, a wiaderko z lodem w drugiej, przeszła przez patio i stanęła przy swojej bratanicy. — Nic mi nie wspominałaś, że chcesz zmienić plany. — Jej zazwyczaj pogodne oczy były teraz zachmurzone i stroskane.

— Myślałem, że wszystko zostało ustalone — powiedział Blaine, stawiając na stoliku ogromną tacę z czterema delikatnymi kieliszkami o długich nóżkach i kilka drewnianych miseczek z przekąskami. — Byłem przekonany, że zdecydowałaś się zostać tutaj z Celią i zrobić studia podyplomowe na Parker College.

Unikając wzrokiem przyczyny swojego nagłego zmieszania, Andrea spoglądała bezradnie to na Celię, to na Blaine'a.

— Ja... ja nie wiem. — Brnęła niezręcznie dalej i zdawała sobie z tego sprawę. Spojrzała na ciotkę i oparła się ciężko o barierkę; gładki drążek wbijał się jej w kręgosłup.

Celia przyglądała się jej przy romantycznym, niezbyt jasnym blasku światła na patio.

— Andrea, czy znowu dziwnie się czujesz? — spytała.

— Dziwnie? — powtórzył Blaine, marszcząc czoło. Andrea skurczyła się w sobie. To „dziwnie” dobrze

oddawało sposób jej zachowania. Jeśli nie będzie ostrożna, wszyscy mogą dojść do wniosku, że jest lekko stuknięta.

— Nie czuła się dzisiaj najlepiej — wyjaśniła Celia. Spojrzała na Andreę, dotknęła jej czoła i uśmiechnęła się do niej łagodnie. — Myślałam, że czujesz się już lepiej, skarbie.

Biorąc się w garść, Andrea nadała swojemu głosowi pewne brzmienie:

— Czuję się lepiej. Może po prostu trochę się stęskniłam za domem. Przykro mi, że cię zdenerwowałam.

— Tęsknisz za swoimi przyjaciółmi? — zapytała Celia domyślnie.

— Tak. — W tej samej chwili Andrea zdała sobie sprawę, że to prawda; tęskniła za przyjaciółkami, za swoimi duchowymi siostrami. Nagle bardzo zapragnęła, by znowu móc uczestniczyć w jednej z ich wspólnych, całonocnych wymian poglądów i zwierzeń, nawet jeśli nie mogłaby im powiedzieć o swoim wyśnionym kochanku. — Tak — powtórzyła cicho. — Tęsknię za nimi.

— Mogłabyś je odwiedzić — zaproponowała Celia. Jej oczy były smutne, jakby już utraciła Andreę.

— Oczywiście — zgodził się Blaine, który zauważył smutek Celi. — Zajęcia zaczynają się dopiero za tydzień. Mogłabyś polecieć na wschód, odwiedzić przyjaciółki i wrócić przed rozpoczęciem semestru.

Jeszcze zanim skończył, Andrea pokręciła przecząco głową.

— Nie, nie mogę. Ich tam nie ma. Alycia podróżuje z Seanem, który daje wykłady w różnych miejscach Stanów, a Karła ciężko pracuje przy zakładaniu galerii w Sedonie.

Celia spojrzała na nią z nadzieją.

— Więc zostaniesz, jak planowałaś?

Łzy wstydu z powodu zasmucenia Celi palily oczy Andrei.

— Tak, zostanę — powiedziała ochrypłym głosem.

— Obiecuję, że nie pożałujesz swojej decyzji. Zaskoczona zapewnieniem Paula, Andrea zmusiła się, by na niego spojrzeć. W jego oczach zauważyła błysk rozbawienia. Czując coraz szybsze bicie serca, wparła się boleśnie w barierkę i wysiliła na nutę ironii w głosie:

— Skąd wiesz, że jesteś w stanie dotrzymać obietnicy?

— Prowadzę niezrównany kurs nauk o ziemi. Andrea patrzyła na niego przez chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem.

— Nie mogę się doczekać — powiedziała, uświadamiając sobie w tej sekundzie, że to prawda. Już w następnej chwili dotarło do niej jeszcze jedno: że jeśli sobie na to pozwoli, to na pewno polubi tego człowieka.

Napięcie, unoszące się do tej pory w powietrzu, zostało rozproszone przez dźwięczny śmiech Andrei.

— No to jak? Wypijemy to wino, zanim zrobi się ciepłe? — zapytał Blaine z wyraźną ulgą w głosie. Nie czekając na odpowiedź, napełnił kieliszki i wręczył je zebranym. Potem uniósł swój.

— Za co pijemy? — zapytał.

— Za pogodę? — zaproponowała niewinnie Celia. Blaine obdarzył ją kwaśną miną.

Paul uśmiechnął się kpiąco.

— Za najnowszą modę jesienną? — zasugerowała z wystudiowaną naiwnością Andrea, przyłączając się do zabawy.

Blaine parsknął.

Paul roześmiał się na głos.

— Hej, dajcie spokój. Stać was na więcej! — zbeształ ich Blaine.

— Nie na wiele — oświadczył Paul. — Ale wygłoszę toast. — Uniósł wysoko swój kieliszek. Za rektora — wskazał kieliszkiem Blaine'a — za wykładowców — wskazał siebie — i za studentów Parker College — przesunął kieliszek w stronę Andrei. — Oraz za ciekawy i produktywny semestr jesienny, — Podniósł kieliszek do ust i pociągnął solidny łyk musującego, złocistego płynu.

Z pomrukami uznania i zgody Andrea, Celia i Blaine poszli w jego ślady. Lody zostały już przełamane i całe towarzystwo rozsiadło się wygodnie na wyściełanych krzesłach ogrodowych, ustawionych wokół drewnianego stolika. Wtulona w swoje krzesło, Andrea sączyła wino i pogryzała krakersy. Słyszała, co prawda, ożywioną konwersację pozostałych, ale docierało do

niej niewiele. Zbyt mocno rozpraszała ją obecność wysokiego mężczyzny, siedzącego niedbale naprzeciwko niej..

Pomimo różnorodności jej odczuć i szoku, jakiego doznawała za każdym razem, gdy na niego spojrzała, Andrea musiała przyznać, że Paul Hellka fascynował ją. Nawet nie przysłuchując się uważnie toczącej się na rozmaite tematy rozmowie, Andrea szybko zauważyła, że jest on wielkim erudytą i ma duże poczucie humoru. Faktycznie, w każdym szczególe przypominał charakterem jej wymyślonego kochanka. To podobieństwo deprymowało ją, ale jednocześnie zniewalało.

W pewnym momencie, podczas rozmowy o komputerach i oprzyrządowaniu, podniósł rękę w geście tak boleśnie Andrei znanym, że musiała zagryźć usta, aby nie wydać z siebie okrzyku zdumienia.

On miał zwyczaj czynić dokładnie taki sam ruch ręką dla zaakcentowania jakiejś myśli.

On był wcieleniem fizycznej perfekcji.

On był erudytą.

On miał ogromne poczucie humoru.

Ale on był wytworem jej wyobraźni, a Paul Hellka — człowiekiem z krwi i kości.

Wciąż nie mogła tego pojąć. Jak to możliwe, że w realnym życiu spotkała mężczyznę stanowiącego wierną kopię jej kochanka ze snów? A jednak, Andrea siedziała naprzeciw żywej, oddychającej niemożliwości.

„To wystarczy, aby rozwiać wątpliwości każdego racjonalnie myślącego człowieka” — zdecydowała, wysączywszy ostatnią kroplę wina. Zanim zdążyła odstawić kieliszek na stół, Paul poderwał się z krzesła z iście kocią zwinnością. Wyjął butelkę z lodu i przechylił ją nad kieliszkiem Andrei.

— Jeszcze? — Uniósł swe doskonale zarysowane brwi.

Zaskoczona Andrea spojrzała w górę i poczuła, że znów gubi się w aksamitnej toni jego niebieskich oczu.

— Ach... tak, dziękuję.

Z zapartym tchem obserwowała, jak napełniał jej kieliszek, nie roniąc ani kropelki i nie odrywając spojrzenia od jej oczu nawet na ułamek sekundy.

— Proszę bardzo. — Jego głos był cichy i równie aksamitny jak oczy.

Gdy wreszcie uwolnił jej wzrok i wrócił na swoje miejsce, Andrea westchnęła z ulgą. Czuła się tak, jakby jego przejmujące spojrzenie przenikało przez okna jej oczu do umysłu, serca, a nawet duszy.

Wstrząśnięta tym dziwnym odczuciem, położyła głowę na oparciu krzesła i zamknęła oczy.

Czyżby traciła kontakt z rzeczywistością? Poruszyła się niespokojnie, gdy ta myśl zakradła się do jej głowy.

„Ale z którą rzeczywistością?” — zastanowiła się. Czy z rzeczywistością okrągłego roku snów o swoim wymyślonym kochanku? Czy też z rzeczywistością normalnego życia, do którego należał mężczyzna siedzący naprzeciw niej?

Jej kochanek z wyobraźni — Jej Miłość — był dla niej tak prawdziwy, że wciąż go czuła wewnątrz swego ciała, tak jakby kochała się z nim nie we śnie, a w życiu.

„Ale Paul Hellka jest również prawdziwy — rozumowała dalej. — Paul jest przyjacielem Blaine'a i Celi. Tego sobie na pewno nie wymyśliłam”.

Natomiast jej nocny kochanek był wymyślony i Andrea musiała to przyznać. Stworzyła sobie ideał męskiej doskonałości. A Paul Hellka pojawił się jako żywe wcielenie tego ideału. ^

„Miałoby to jakieś uzasadnienie — rozważała Andrea — gdybym spotkała Paula, zanim po raz pierwszy przyśnił mi się wymyślony ukochany. Wielu ludzi śni o innych, rzeczywistych ludziach. Ale ja — aż do tego dnia

— nawet nie widziałam Paula. N o więc, to wszystko_ nie ma żadnego sensu”

Porzucając bezowocne rozmyślenia, Andrea skupiła się na rozmowie towarzystwa.

Celia opowiadała właśnie o reakcji Andrei, gdy ta po raz pierwszy zobaczyła rekiny.

— ...było je widać bardzo wyraźnie z plaży. Na ich widok przez ciało Andrei przebiegł zauważalny dreszcz.

Trzy pary współczujących oczu spojrzały na Andreeę. Ona uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Naprawdę boisz się rekinów? — zapytał Paul.

— Uhm — potwierdziła Andrea. — Już sam widok ich płetw grzbietowych tnących powierzchnię wody sprawia, że przechodzą po mnie ciarki. — Wzdrygnęła się. — Od tamtego dnia nawet nie zamoczyłam stóp w oceanie.

Celia roześmiała się.

— To prawda. Odmawia kąpeli, nawet kiedy Blaine jest z nami na plaży.

— Nie muszę dodawać, jak bardzo na tym cierpi moje męskie ego — uzupełnił Blaine.

— Lepiej mieć nadszarpniętą dumę, niż rozszarpane ciało — odparła Andrea.

— Och, skarbie — powiedziała Celia — zawsze kochałaś ocean, a przecież przy zachowaniu ostrożności kąpiel jest zupełnie bezpieczna.

— Jeśli zechcesz, wpadnę któregoś wieczora, zabiorę cię nad ocean i popływamy — zaofiarował się Paul. — Zapewniam cię, że nie masz czego się bać ze strony rekinów.

Coś jej to przypomniało, ale zanim mogła dotrzeć do źródła skojarzenia, zostało ono stłumione przez melodyjny śmiech jej ciotki.

— Nie wiem, jak mogłabyś się oprzeć tej propozycji, skarbie — powiedziała Celia. — To jest najoryginalniejsze podejście, z jakim kiedykolwiek się spotkałam.

Zdając się nie przejmować demaskującym komentarzem Celi, Paul pytająco uniósł brew i nadal patrzył na Andreeę.

— Nie wiem... — Głos Andrei ucichł na nucie niepewności, której źródłem było coś znacznie bardziej intymnego niż strach przed rekinami.

— Twoja ciocia ma rację, Andreo — wtrącił Blaine, rzucając swemu przyjacielowi badawcze spojrzenie. — Musisz przyznać, że propozycja doktora jest bardzo oryginalna. To bardzo szczególne wyróżnienie... i to w stanie słynącym z pięknych kobiet.

„Szczególne wyróżnienie? Piękne kobiety? — Andrea zmarszczyła czoło. — Czyżby Blaine sugerował, że Paul, jeżeli nawet nie żył w celibacie, to bardzo, bardzo rzadko obdarzał kobietę swoim zainteresowaniem?” — Spojrzała sceptycznie najpierw na Blaine'a, potem na Paula.

Blaine skinął głową i uśmiechnął się zagadkowo. Paul nadal zdawał się być nie zmieszany, wysoce rozbawiony i ciekawy odpowiedzi Andrei.

Andrea była pewna, że gdyby powiedziała: „Dziękuję, ale niestety nie skorzystam” to temat ten zostałby zarzucony — przynajmniej przez Celię i Blaine'a. Oni nieraz widzieli, jak odrzucała wszelkie takie propozycje ze strony mężczyzn. Ale tym razem nie wiedziała, jak się zachować.

Intrygował ją ten mężczyzna. Bo jakże mogłaby nie być zaintrygowana sobowtórem kogoś, z kim przeżyła tego samego popołudnia najbardziej satysfakcjonujące i zmysłowe chwile miłości w życiu? „Co robić?” — pomyślała.

Andrea wytrzymała delikatną prowokację jego spojrzenia, balansując na krawędzi decyzji. Zobaczyła błysk w jego oczach, który odebrała jak wyzwanie, i to przeważało w końcu szalę na jego korzyść. ^

— Dlaczego się boisz? — zapytał głosem cichym i troskliwym, ale jednocześnie prowokującym. — To tylko popołudnie na plaży, Andreo. Będzie nas widać z tego domu. Obiecuję, że nie zanurzę cię w wodzie razem z głową.

To zapewnienie wydało się Andrei bardzo wieloznaczne. Zaintrygowana tym jeszcze bardziej, zdecydowała się przyjąć zaproszenie.

— Dobrze — zgodziła się. — Wybierz któreś popołudnie. Ale uprzedzam cię, że jeśli zobaczę choćby cień ciemnej pletwy gdziekolwiek pomiędzy linią brzegu a horyzontu, to ucieknę i nic mnie nie zmusi do ponowienia próby.

— To brzmi uczciwie — odparł Paul. — Czy jesteś wolna jutro po południu?

Mając w uszach szczęk zatraskującej się za nią pułapki, Andrea rzuciła Celi bezradne spojrzenie.

— Cóż, obiecałam Celi, że będę się oszczędzać przez parę najbliższych dni — powiedziała, usiłując zyskać trochę czasu do namysłu.

Celia rzuciła jej oschłe spojrzenie i strofujący uśmiech.

— Jestem pewna, że popołudnie spędzone nad morzem bardziej ci pomoże, niż zaszkodzi. Idź i baw się dobrze — powiedziała i dołączyła zachęcający gest ręką.

— Tak, idź — dorzucił Blaine. — A ja nie pozwolę twojej ciotce nudzić się w domu i zabiorę ją na lunch do San Francisco. Zgodzę się nawet na to, żeby ciągała mnie po wszystkich tych małych galeriach sztuki, które tak uwielbia.

Andrea wpadła w pułapkę, wiedziała o tym. Celia nigdy nie dałaby się namówić na całodniową wyprawę do San Francisco, wiedząc, że Andrea będzie snuć się po domu bez towarzystwa. Pomyślała, że skoro i tak musi się poddać, może to równie dobrze zrobić z wdziękiem. Obdarzyła więc Paula najbardziej uroczym ze swoich uśmiechów.

— Jutrzejsze popołudnie bardzo mi odpowiada. Czy możemy się spotkać o drugiej? — odpowiedziała wreszcie.

Uśmiech, który z wolna pojawiał się na jego twarzy, miał zniewalającą siłę.

— Skoro Celi nie będzie na lunchu, to może zorganizuję piknik dla nas dwojga? — Chociaż zrobił niewielką pauzę po pytaniu, wcale nie czekał na odpowiedź. — Powiedzmy, o dwunastej?

Andrea westchnęła pokonana:

— Więc o dwunastej.

* * *

Andrea długo nie mogła zasnąć tej nocy. Leżała bezsennie całymi godzinami i martwiła się swoją zgodą na spotkanie z Paulem.

„Czy jestem zbyt ostrożna i zachowuję się jak podłotek?” — pytała samą siebie. Paul był nie tylko niewiarygodnie przystojnym mężczyzną. Okazał się przede wszystkim bardzo miłą osobą. A jednak Andrea bała się zaangażować uczuciowo.

Oczywiście wiedziała dlaczego. Podobieństwo między Paulem a mężczyzną ze snów było tak dokładne, że w jej sercu zagościł trwały niepokój.

Jej wymyślony mężczyzna.

Jej Miłość.

To właśnie myśl o jej Miłości ze snów ukołysała wreszcie Andreeę. Może on powie jej co robić, jak postępować z tym mężczyzną, który żył w realnym świecie i nosił jego twarz.

* * *

Andrea biegła przez mgłę. Łzy płynęły po jej twarzy. Nie mogła znaleźć ścieżki! Nie mogła znaleźć jego! Wołała go raz po raz.

— Moja Miłości! Moja Miłości!! Gdzie jesteś? — zawołała i z przerażeniem stwierdziła, że nie słyszy własnego głosu.

Wciąż biegła, potykała się, przewracała, znowu wstawała i biegła, biegła. Musiała znaleźć ścieżkę. Ta ścieżka prowadzi do niego.

Mgła zgęstniała i otoczyła szczelnie Andreeę. Nie mogła oddychać, nic nie widziała!

Szlochała cicho, bezgłośnie, a płacz ten niczym nóż wbity w duszę przenikał ją boleśnie. Płacz wypełniał całe jej jestestwo.

— Gdzie jesteś? Gdzie jesteś? Kocham cię!

Wtedy mgła zaczęła się powoli rozpraszać. W oddali Andrea ujrzała niewyraźny zarys ścieżki. Poczowała wielką ulgę. Potem, gdy wąska ścieżka stała się dobrze widoczna, ogarnął ją znów niepokój.

Jej tam nie było!

Nie było go!

Nagle pojawił się, lecz wyglądał tak niematerialnie, jakby stanowił część tej pochłaniającej wszystko mgły.

Przepełniona niewypowiedzianą radością, Andrea zaczęła biec do niego, ale nie mogła posuwać się naprzód. Jej nogi poruszały się, a ona stała w miejscu. Zawołała do niego o pomoc, poprosiła, żeby podszedł do niej.

Nie odpowiedział. Pomachał jej ręką. Potem zaczął blaknąć, wtapiał się w mgłę.

Panika ścisnęła serce Andrei. Machał jej na pożegnanie! Jej Miłość opuszczała ją! Po chwili już go nie było.

Ogarnięta dziką, gwałtowną rozpaczą, Andrea odrzuciła głowę w tył i krzyczała przejmująco:

— Moja Miłości! Obiecałeś, że będziesz zawsze ze mną! Nie opuszczaj mnie!

* * *

Andrea ocknęła się raptownie. Łzy spływały po jej policzkach. Poranne słońce świeciło za oknem sypialni. Była sama.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mgła ze snu wciąż spowijała umysł Andrei, która czuła się opuszczona i zdesperowana. Odszedł.

Ciche pochlipywanie wstrząsnęło jej ciałem. Jej ogarnięty przez rozpacz umysł dręczyło jedno pytanie: „Dlaczego ją opuścił?”

Żałobny krzyk ptaków morskich za oknem przedarł się przez mgłę wypełniającą głowę Andrei. Ciche westchnienie wyrwało się z jej ust, gdy opadły resztki sennej mgły. Rozpaczliwy szloch cichł stopniowo, łzy wysychały.

„To był tylko sen” — pocieszała się, obejmując swoje drżące ciało ramionami.

„Tylko sen”.

Andrea przygryzła dolną wargę. Jej ciotka wypowiedziała wczoraj te same słowa pociechy: „Tylko sen”.

Dreszcz chłodu przebiegł przez jej plecy. Jej kochanek przychodził do niej we snach co noc przez prawie rok. Rozmawiali z sobą, milczeli i kochali się z sobą namiętnie.

Przecież to się zdarzyło jeszcze wczoraj. A teraz go nie ma, pożegnał ją uśmiechem i gestem dłoni.

I odszedł.

Podniósłszy wyczerpane ciało z łóżka, Andrea podeszła do okna i patrzyła niewidzącymi oczami na ocean. Poranne powietrze owiewało jej twarz, wysuszając ostatnie łzy.

Ze swego okna Andrea widziała wąski łuk plaży u stóp klifu, na którym stał dom. Maleńki brodziec biegał w kółko, szukając śniadania. Ten widok wywołał blady uśmiech na jej ustach. Piasek złocił się w promieniach rannego słońca, widok wody działał kojąco.

„Plaża. Woda” — Jej myśli zawirowały. Jest umówiona na randkę na plaży. Spędzi dzień nad wodą z mężczyzną, który jest realnie istniejącym sobowtórem jej wymyślonego kochanka.

„Sobowtórem!” — Andrea znieruchomiała, gdy ta myśl w pełni do niej dotarła.

„Paul jest wcieleniem mojego kochanka ze snów! Czy to możliwe?” — Andrea potrząsnęła głową. Pomysł, który powstawał w jej głowie, był zbyt niesamowity, aby mogła go potraktować poważnie. „A jednak — spekulowała — czy to nie mogłoby być możliwe...? Czy teraz, kiedy spotkałam

Paula, mój wyśniony kochanek odszedł ze snów w przekonaniu, że jestem już zabezpieczona przed samotnością?"

„To absurd!” — zbeształa się po chwili Andrea. Jej mężczyzna ze snów był tylko wytworem wyobraźni! Pięknym snem, ale jednak snem. A sny, choćby najbardziej zwodnicze, nie mogą przeniknąć do rzeczywistości.

„Czyż jednak sama nie pozwoliłaś rzeczywistości przeniknąć do snów?” — drwił z niej jakiś wewnętrzny głos.

Aż jej się zimno zrobiło na tę myśl. Kręciła wolno głową w milczącym geście zaprzeczenia. „To nieprawda! — zapewniała samą siebie. — Nie jestem przecież dzieckiem. Potrafię odróżnić rzeczywistość od marzeń sennych”.

„Czy naprawdę? — dokuczał ten sam wewnętrzny głos. — Skąd więc ten niepokój? Skąd rozpacz? Obudź się i powąchaj kawę, Andreo, zanim zorientujesz się, że nie potrafisz wrócić do rzeczywistości ze świata snów”

Jak większość zwykłych, normalnych, dorosłych ludzi, Andrea nie lubiła być naciskana — nawet przez swój mechanizm obronny. Jej natychmiastową reakcją było działanie.

Szarpnęła stanowczo głową — dokładnie tak samo, jak to zrobiła we śnie poprzedniego popołudnia. Odwróciła się od okna i podeszła do rozgrzanego łóżka. Gwałtownymi ruchami naciągnęła, wygładziła i poprawiła pościel, cały czas mruczając pod nosem:

— Jestem inteligentną, wykształconą kobietą i z pewnością nie mogłabym zatracić się ani we śnie, ani w żadnej innej, wymyślonej rzeczywistości.

W ścielenie łóżka wkładała więcej energii niż dokładności.

„A to namiętne wyznanie miłości we wczorajszym śnie?” — Strofujący ją głos nie dawał za wygraną.

„Ależ to był tylko sen. — usprawiedliwiała się w Myślach Andrea. — To nie działa się naprawdę”

„Właśnie. To nie zdarzyło się naprawdę” — Jej wewnętrzny głos przybrał zwycięski ton. Ręce Andrei znieruchomiały na poduszce, którą poprawiała. Wzorzysta poszewka zawilgotniała od łez.

„Tylko sen”

Westchnienie, które rozległo się w cichym pokoju, pochodziło z samej duszy Andrei. Szkoda, że ten sen się skończył i już nigdy nie wróci.

Andrea nigdy w życiu — nawet po śmierci ojca, wyjeździe matki czy zdradzie Zacha — nie czuła się tak opuszczona i samotna.

Tuląc do piersi poduszkę, skuliła się na łóżku. Wyczuwała intuicyjnie, że jej kochanek ze snów już do niej więcej nie przyjdzie. Czuła przeraźliwą pustkę w sercu.

Wiedziała, że zawsze może liczyć na Celię, a w pewnym stopniu i na Blaine'a, tak jak zawsze mogła polegać na Karli i Alycii. Ale zdawała sobie zarazem sprawę z tego, że przede wszystkim musi polegać na sobie.

Rozum podpowiadał jej, że szukanie oparcia we wspomnieniach o kochanku ze snów może jej tylko zaszkodzić. Wspomnienia są słodkie... ale to tylko wspomnienia. Chociaż wierzyła, że sny są ściśle powiązane z rzeczywistością, rozumiała jednak, że jeśli nie chce przekroczyć cienkiej linii pomiędzy rzeczywistością, a fantazją, musi umieć żyć w realnym świecie.

Andrea zbadała swój umysł, serce, duszę i możliwości. Wyrobiwszy sobie jasny pogląd na ich stan, podjęła decyzję. Nie przekroczy pewnej granicy, nie ucieknie w świat fantazji. Wykorzysta jak najlepiej swoje zdolności, aby żyć tu i teraz i aby jak najlepiej sobie ze wszystkim radzić.

Postanowiła od razu zacząć działać w tym kierunku. Poderwała się z łóżka, wyrównała pościel i ruszyła do łazienki. Pierwszym jej zadaniem po powrocie do rzeczywistości było zjedzenie śniadania z Celią.

Zanim zeszła na dół i powitała radośnie krzątającą się w kuchni ciotkę, zdołała ukryć wspomnienia o wyśniewanej Miłości w najgłębszym zakamarku serca — niczym drogocenny skarb. Gdyby ich kiedykolwiek potrzebowała, jej wspomnienia — jak błyszczące klejnoty nadziei — zawsze będą leżały pod powierzchnią codzienności.

— Dzień dobry! — zawołała Celia. Rzuciła Andrei badawcze spojrzenie i westchnęła z ulgą. — Nie muszę pytać, jak spałeś. Wyglądasz na wypoczętą i pełną chęci do życia.

Andrea uśmiechnęła się i usiadła na krześle.

— Tak, czuję się całkiem dobrze — powiedziała, nie wspominając nic na temat tego, co jej się śniło. Dopiero gdy potwierdziła, że czuje się dobrze, zdała sobie sprawę, że rzeczywiście tak jest. Sięgnęła po dzbanek zimnego soku pomarańczowego. Kuszący zapach świeżego pieczywa przyjemnie drażnił nozdrza.

— Bułeczki maślane? — zapytała z nadzieją w głosie.

— Tak. - Celia uśmiechnęła się dobrotliwie i przysunęła jej koszyk z bułkami.

Andrea mruczała z zadowolenia, wgrzyzając się w ciepłą jeszcze bułeczkę posmarowaną masłem.

— Mm, pyszne. — Przełknęła, potem spojrzała pytająco na Celię.

— Dlaczego aż tyle? Czy spodziewasz się Blaine'a na śniadaniu?

— Nie — Celia potrząsnęła głową. — Powiedział, że będzie o jedenastej, ale nie zdziwiłabym się, gdyby skusił go mały poczęstunek przed wyjazdem. — Podniosła ze stołu fajansowy dzbanek z kawą, naląła Andrei i sobie po filiżance aromatycznego płynu, po czym mówiła dalej: — Pomyślałam również, że może zechcesz zabrać parę na piknik...

Andrea znieruchomiała w pół kęsa na wzmiankę o randce z Paulem. Przez chwilę poddała się panice, która chwyciła ją za gardło.

Minęło ładnych parę lat, odkąd Andrea spędziła sam na sam z mężczyzną więcej niż parę chwil. Ostrożna i nieufna, zdecydowała nigdy nikomu nie stworzyć okazji do zranienia jej, toteż wystrzegła się mężczyzn jak ognia.

Z jej filiżanki unosiła się para, silny zapach kolumbijskiej kawy dotarł wreszcie do nozdrzy i świadomości Andrei i przypomniał jej radę daną przez wewnętrzny głos nie więcej niż godzinę temu.

„Tak - rozmyślała Andrea, przeżuując w roztargnieniu kęs bułki. — Może to już rzeczywiście najwyższy czas zostawić przeszłość za sobą i spojrzeć w oczy teraźniejszości. Może to już czas powąchać kawę i otrzeźwieć, zanim przeminie młodość”

Celia zastanawiała się nad czymś.

— Wiesz, nie jestem pewna — powiedziała — nigdy go o to nie pytałam, ale myślę, że Paul jest Grekiem.

Andrea skończyła jeść bułkę i sięgnęła po filiżankę.

— Długo go znasz? — zapytała, dmuchając na kawę.

— Przypuszczam, że będzie już rok — odpowiedziała Celia po namyśle. — Tak, prawie dokładnie rok. Blaine przedstawił mi go poprzedniego lata. Właśnie przyjechał do Carmel, aby zacząć pracę w college'u. To było jakoś pod koniec sierpnia, mniej więcej tydzień przed początkiem jesiennego semestru.

Nie chcąc zdradzić nadmiernej ciekawości, Andrea wypiła swój sok i pół filiżanki kawy, zanim obojętnym głosem zadała kolejne pytanie:

— Czy wiesz, skąd przyjechał?

— Z Teksasu — odparła Celia bez wahania.

— Z Teksasu? — Andrea była więcej niż zaskoczona.

— Z Teksasu! — powtórzyła niedowierzającym tonem. Według niej Paul Hellka w niczym nie przypominał człowieka z zachodu. Z drugiej strony, nie wyglądał również na kogoś ze wschodu.

— Co on robił w Teksasie?

Celia zaśmiała się, dając do zrozumienia, że podziela pogląd Andrei.

— Możesz w to wierzyć lub nie, ale on się tam urodził — oświadczyła, wciąż się śmiejąc.

— Dziwne — skomentowała Andrea, myśląc, że Paul nie wydawał się pochodzić z żadnej konkretnej części kraju.

Celia uniosła brwi w grymasie zdziwienia.

— Dziwne? Nie bardzo cię rozumiem.

— Och, sama nie wiem. Przypuszczam, że on po prostu nie pasuje do schematu Teksańczyka, który miałam do tej pory w głowie, a który zresztą wyrobiłam sobie na podstawie hollywoodzkiego stereotypu.

— Tak samo jak wszyscy kryminaliści muszą mieć blizny, a wszyscy dobrzy faceci nosić białe kapelusze? — Uśmiech Celi był nieco wymuszony.

— Właśnie!

— Dobrze wiesz, że tak jest tylko w filmach — odparła Celia. — Ale masz nieco racji.

— Co do blizn? — droczyła się Andrea. Celia nie mogła się nie uśmiechnąć.

— Nie, ty niesforny łobuziaku — powiedziała z sympatią w głosie. — Mam na myśli to, że Paul rzeczywiście wygląda bardziej na Europejczyka niż Amerykanina, co zresztą jest uzasadnione. Jego rodzice są imigrantami. Osiedlili się gdzieś na zachodzie Ameryki, chyba w okolicy Big Bend. O ile dobrze pamiętam, oboje są naukowcami — dodała po namyśle.

— A jak on znalazł się w Kalifornii? — zapytała Andrea. Oszukiwała samą siebie, udając, że wcale nie jest tak bardzo zainteresowana tym mężczyzną.

— Z powodów materialnych — odpowiedziała Celia i uśmiechnęła się, widząc wyraz zmieszania, który przemknął przez twarz Andrei. — Blaine" wyjaśnił mi, że dosłownie wykupił Paula z małego college'u w Teksasie. Paul uczył tam za marne pieniądze.

Andrea zadała pytanie, które od razu pojawiło się w jej głowie:

— Dlaczego? Byłam dotąd przekonana, że profesorszy to teraz tani i łatwo dostępny towar. Dlaczego Blaine kupił tego właśnie naukowca?

— Bo on jest wybitny — odpowiedziała krótko Celia. — Według Blaine'a — a on zna się na rzeczy — listy polecające Paula są bardziej listami pochwalnymi, niż po prostu imponującymi referencjami.

Ta informacja potwierdziła to, czego Andrea zdążyła się wcześniej dowiedzieć od swoich nowych znajomych — studentów z college'u Parkera. Według nich wykładowca nauk o ziemi był „absolutnie super” najlepszy ze wszystkich. Bezgraniczny podziw przyjaciół dla Paula Hellki sprawił, że włączyła jego kurs do swojego programu studiów.

Dopiero teraz wydało jej się dziwne, że nikt nigdy nie wymieniał jego nazwiska. Wszyscy mówili o nim po prostu „psor” i to tonem pełnym czci należącej bohaterom.

Nagle obie kobiety aż podskoczyły, tak nieoczekiwanie rozległ się dźwięk dzwonka, tuż po tym, jak Celia skończyła mówić.

— O Boże! — zawołała Celia. — To nie może być jedenasta!

Spojrzała na zegar kuchenny, potem wypadła z kuchni. Biegając dawała Andrei instrukcje:

— Skarbie, wpuść proszę Blaine'a i dotrzyмай mu towarzystwa, a ja się szybko przygotuję.

Przewidując twierdzącą odpowiedź Andrei, Celia nie czekała, aż ta ją usłyszy, tylko mówiła dalej:

— Daj mu filiżankę kawy i bułeczkę. To powinno go uszczęśliwić na parę minut.

— Dzień dobry, piękna! — powitał ją Blaine, składając pocałunek na jej policzku i uśmiechając się promiennie. — Nie mów, pozwól mi zgadnąć: nasza piękna Celia właśnie w tej minucie pobiegła do swojego pokoju, aby skończyć się ubierać. — Uniósł swoje ciemne brwi. — Czy tak?

— Dokładnie tak — uśmiechnęła się Andrea, zamykając drzwi.

— I cóż kazała ci zrobić, żebym się nie nudził? — zapytał wprost, zdradzając jak dobrze zna i rozumie Celię Trask.

— Dać ci filiżankę kawy i maślaną bułeczkę — odparła Andrea, prowadząc go do kuchni.

— Ta kobieta zna mnie za dobrze — skomentował Blaine stroskanym, ale wesołym tonem i podążył za Andrea.

Podczas gdy Blaine konsumował bułeczki i popijał kawę, Andrea zaczęła sprzątać. Gdy Celia wreszcie się zjawiła, kuchnia lśniła czystością, a Blaine czekał najedzony. Ciotka Andrei ubrana była ze swobodną elegancją:

bladozielone, luźne spodnie, sandały na wysokim obcasie i białą bluzę w fiołkowe i różowe kwiaty.

Oczy Blarne'a rozbłysły na widok Celi.

Stojąc przy zlewie i czując się jak piąte koło u wozu, Andrea poczuła smak zazdrości. Z oczu Blaine'a biła żarliwa i nie skrywana miłość do Celi.

Ból tęsknoty wypełnił duszę Andrei. Była naprawdę szczęśliwa, że jej ciotka wreszcie odnalazła miłość, którą mogła się otwarcie cieszyć, ale nie potrafiła przestać się zastanawiać, jakie to uczucie — kochać i być kochaną z takim oddaniem.

Na szczęście ból ten nie trwał dłużej niż sekundę. Rozproszył go śmiech na widok Blaine'a usiłującego wypchnąć z domu Celię, która jeszcze w ostatniej chwili dawała Andrei instrukcje:

— Zostawiłam obiad w lodówce, Andreo! — zawołała ciotka przez ramię.

— Nie szukaj nas, dopóki sami się nie znajdziemy, ślicznotko! — krzyknął Blaine, zamykając drzwi za Celią.

Wciąż się uśmiechając, Andrea wróciła do kuchni. Uśmiech jej znikł, gdy spojrzała na zegar - Paul będzie tu za mniej niż pół godziny! Z cichym okrzykiem wypadła z kuchni.

Przeglądała się w dużym lustrze na drzwiach łazienki, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. „Paul!” — pomyślała, wpadając niemal w panikę. Przygryzła dolną wargę. Spojrzała na drzwi, potem znów na swoje odbicie.

Nagle jednoczęściowy, francuski kostium, który nosiła chętnie przez całe lato, wydał jej się o wiele za skąpy. Nerwowymi palcami obciągnęła materiał w miejscach wcięć nad biodrami, ukazujących zgrabne przedłużenie jej smukłych, kształtnych nóg.

Andrea jęknęła.

Dzwonek znowu zadzwonił.

Zdesperowana narzuciła lekki szlafroczek i przewiązała go mocno w pasie. Spojrzała w lustro i znowu jęknęła. Aksamitny szlafrok nie zasłaniał nawet jej ud.

Znowu rozległ się dzwonek.

Andrea westchnęła. Szlafrok będzie musiał wystarczyć. Pobiegła do drzwi i zdyszana otworzyła je. Wtedy serce jej zaczęło bić bardzo szybko, natomiast oddech prawie zamarł.

Paul opierał się swobodnie i cierpliwie o framugę drzwi. Wyglądał zbyt przystojnie jak na mężczyznę z krwi i kości, a do tego był prawie nagi. Miał

na sobie luźną koszulę opadającą na uda i osłaniającą częściowo jego gołe, długie i mocno opalone nogi. Na wąskie, bose stopy założył sandały.

— Cześć. — Jego głos był niski i pociągający, uśmiech leniwy i oszałamiający. — Jesteś gotowa stawić czoła plaży?

„Z nim mogłabym stawić czoła wszystkiemu” — Ta myśl wstrząsnęła Andrea, ale przynajmniej pozwoliła jej znów oddychać... zbyt gwałtownie, ale jednak oddychać.

— Cześć — odpowiedziała chrapliwym głosem, którego sama nie poznała. — Tak, jestem gotowa. Muszę tylko wziąć swoje rzeczy. Wejdiesz?

— Nie. — Paul potrząsnął lekko głową. Słońce igrało z jego czarnymi włosami. — Pójdę naokoło i spotkam się z tobą przy schodach patio. — Jego wzrok zanurzył się w brązowej toni jej oczu.

— A... świetnie. — Andrea czuła skutki jego spojrzenia głęboko w sobie. — Spotkamy się tam.

Odepchnął się od framugi drzwi.

— Idź — wyszeptał, uwalniając jej wzrok. Wyzwolona z więzów jego spojrzenia i zmieszana z powodu dziwnego doznania, które przeszło ją na wskroś, Andrea zamknęła drzwi i pobiegła po swoją torbę plażową i foliowy woreczek z bułeczkami.

Na plażę prowadziły strome i trochę nierówne schody. Z ręcznikiem przewieszonym przez kark, Paul pomagał Andrei w trudniejszych miejscach. Za każdym razem, gdy uwalniał jej rękę, jej skóra zachowywała przez chwilę wrażenie jego obecności.

Dzień był przepiękny. Na błękitnym, bezchmurnym niebie świeciło tropikalne słońce, którego złote promienie muskały ciemnoniebieską powierzchnię oceanu. Znad wody wiał delikatny wietrzyk, pozbawiający słoneczne promienie ich palącego żądła. Morskie ptaki krzyczały i kłóciły się o smaczniejsze kąski wyłowione z wody.

Wiatr bawił się włosami Andrei, zdmuchując jej na twarz i ramiona długie kosmyki. Andrea starała się ukryć swoje przesadne stremowanie, patrząc w dal, na morze. Nieświadomie podniosła rękę, aby odgarnąć włosy w tył.

— Nie, zostaw.

Andrea zamarła, kiedy poczuła na nadgarstkach jego długie palce.

— Zostaw je w spokoju — powiedział cicho, tuż przy jej uchu. — Pozwól im fruwać.

— Wpadają mi do ust — zaprotestowała Andrea schrypniętym, ledwie słyszalnym głosem^

— Szczęśliwe włosy.

Powiedział to tak cicho, że Andrea nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

— Co? — spytała drżącym głosem.

— Nic.

Stał tak blisko, że czuła jego szept na swoim karku.

— Stój spokojnie, pomogę ci.

Zwolnił lekki uścisk na jej nadgarstkach. Andrea poczuła, że się schylił, po czym uniósł ręce z powrotem do jej głowy. Zgarnął jej włosy palcami. Aż drgnęła, gdy musnęły jej szyję. Westchnienie protestu wyrwało się z jej ust, gdy opuścił ręce i odstąpił od niej.

— No, to powinno je utrzymać.

Zaciekawiona, Andrea zbadała fryzurę rękami. Związał jej włosy bardzo starannie, nie mogła wyczuć nawet jednego, niesfornego kosmyka. „Jak on to zrobił?” — Andrea popatrzyła na niego pytająco.

Łagodny uśmiech rozjaśnił jego twarz.

— Masz jakieś pytania? — zapytał spokojnie.

— Jak to zrobiłeś?

— Jak je ułożyłem? — drażnił się z nią.

— Jak je związałeś?

Schylił się, a kiedy się podniósł, trzymał w palcach nitkę wodorostu.

— Wszystko, czego nam potrzeba, możemy znaleźć w naturze, Andreo — powiedział.

Związał jej włosy wyschniętym wodorostem! Oburzona, wykrzyknęła:

— Wodorost?

Paul uśmiechnął się do niej, odsłaniając mocne, białe zęby, pięknie kontrastujące z jego opaloną skórą.

— Ten wodorost jest nieszkodliwy i jest tak samo częścią natury, jak i ty.

Oburzenie Andrei roztopiło się pod wpływem ciepła jego uśmiechu.

— Cóż, jeśli ty tak mówisz — wymamrotała, posyłając mu żartobliwy uśmiech. — Nie prosź mnie tylko, żebym jadła to oślizgłe paskudztwo.

Paul odrzucił głowę w tył i roześmiał się głośno.

— Oślizgłe paskudztwo? — powtórzył, kiedy zdołał się już uspokoić. — Czy nie wiesz, że wodorosty są źródłem jodu?

Andrea nie wyglądała na zdziwioną.

— Dziękuję, wolę jod z soli.

— Widzę, że z tobą na zajęciach czeka mnie interesujący semestr — powiedział Paul z uśmiechem. Odwrócił się, aby rozłożyć koc na piasku.

— Czyżbyś się bał, profesorze? — droczyła się Andrea, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że zupełnie opuściło ją napięcie spowodowane przebywaniem z nim sam na sam.

— Nie — uśmiechnął się do niej Paul. — Czekam na to z niecierpliwością. A ty?

— Tak — przyznała Andrea. — Ale w tej chwili czekam niecierpliwie na lunch, który przyniosłeś. — Wyraz jej twarzy stał się kpiący. — I lepiej, żeby to nie były wodorosty.

Równie wspaniałego posiłku jak ten, który zaproponował Paul, dawno już Andrea nie widziała. Na początek podał sałatkę z owoców, chrupkie warzywa pokrojone na kawałki wielkości kęsa, chrupiącą bułkę paryską, którą jedli z kawałkiem sera, no i oczywiście bułeczki maślane. Pomiedzy kęsami sączyli chłodzone, białe wino kalifornijskie o delikatnym aromacie. Rozmawiali swobodnie o tym, jak jej się podoba Kalifornia, o szybko zbliżającym się jesiennym semestrze, o jej upodobaniu do białego wina i jego — do ostrych serów.

Andrea często się śmiała. Zauważyła, że za każdym razem, kiedy to robiła, oczy Paula zdawały się rozbłyskiwać od wewnątrz.

Kiedy skończyli, zapakowali z powrotem podręczną chłodziarkę i wygładzili koc. Pracowali razem — sprawnie, nie potykając się, nie wpadając jedno na drugie, jakby intuicyjnie znali swoje zadania.

Najedzona, a właściwie przejedzona Andrea położyła się na kocu, oddając swe ciało słońcu. Zdziwiona, że Paul się nie kładzie, uniosła się nieco na łokciu i podniosła rękę, aby osłonić oczy od słońca. Stał przy kocu z uniesionymi ramionami. Jego mięśnie i ścięgna poruszały się, kiedy ściągał białą koszulę, a ciało lśniło w promieniach słońca jak wypolerowane złoto. Przez chwilę Andrea zapomniała o oddychaniu, a jej serce o biciu. Paul był najbardziej zapierającą dech w piersiach osobą, jaką kiedykolwiek widziała.

Gdy się patrzyło na niego, przede wszystkim rzucała się w oczy czarna, bujna czupryna i aksamitny gąszcz loków na piersi. Przy nich nawet nogi wydawały się być zupełnie nieowłosione. Ramiona i klatkę piersiową miał szerokie, a jednak, jak Andrea zauważyła poprzedniego dnia, nie sprawiało to wrażenia napompowanej góry mięśni. Jego pas i biodra były wąskie, a brzuch płaski, wręcz wklęsły. Miał doskonale uformowane, długie ręce i nogi.

Wygląd Paula wpływał na Andreę zniewalająco, ale jej uwagę przykuł przede wszystkim wąski pasek białego materiału osłaniający lędźwia.

Wbrew jej woli widok ten sprawił, że przeszła przez nią fala zimna, potem gorąca i Andrea po chwili zarumieniała się. Prawie go nie знаła, a jednak jej ciało pamiętało wciąż dotyk jego ciała, mimo że realnie nie miało to nigdy miejsca.

Andrea leżała nieruchomo, wstrzymała oddech i patrzyła. Widziała wszystko i nic zarazem. Była spięta, zdezorientowana, zmieszana.

— Andrea.

Jego niski głos zabrzmiał jak delikatna pieśczoćta, a zarazem jak brutalne przebudzenie. Zaskoczona i zawstydzona Andrea spojrzała mu w oczy i natychmiast spuściła wzrok, wyczytawszy w nich zrozumienie. Odwróciła od niego głowę, gdy opadł przy niej na kolana.

— To nie wstyd podziwiać ludzkie piękno — powiedział, nie dotykając jej, ale głaszcząc swoim czułym tonem. — Ja podziwiam twoje ciało odkąd... odkąd się spotkaliśmy.

Andrea zauważyła krótką pauzę w płynnym toku wypowiedzi, ale pytanie, które powstało w jej umyśle, zatoneło w strumieniu jego głosu.

— Twoje ciało jest piękne. Twoja skóra miękka i delikatna jak jedwab — wyszeptał. — Ja nie czuję wstydu, podziwiając łagodny zarys twoich kształtnych bioder, idealną krągłość twoich piersi czy urzekające rysy twojej twarzy. — Położył się na kocu obok niej, dotykając jej jedynie swoim głosem. I dlaczego miałbym czuć wstyd, podziwiając tę najbardziej kobiecą część twojego ciała, ten wspaniały wzgórek nieskazitelnej urody i nieskończonej, niewypowiedzianej rozkoszy?

— Przestań! — zawołała chrapliwym szeptem Andrea. — Proszę, Paul, przestań! Nie zniosę tego dłużej. Nie mogę... .

Było już za późno. Chociaż nawet jej nie dotknął, rozpalone, pełne pożądania ciało Andrei reagowało na każde słowo, które wyszeptał.

Jej świadomość skuliła się zażenowana.

Jej ciało radowało się wyzwoleniem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Przykro mi. — W głosie Paula brzmiało współczucie, ale nie żal.

Leżeli blisko siebie na ogrzonym przez słońce kocu, ale nie dotykali się. Wciąż czuła się lekko zakłopotana, lecz nie żałowała, że jego słowa wywarły na niej tak silne wrażenie.

— Nie myśl, że chciałem tobą celowo manipulować

— wyszeptał. — Pragnąłem jedynie złagodzić zażenowanie i wstyd, jaki odczuwałaś.

— Wiem. — Słaby uśmiech pojawił się na jej twarzy.

— Nie jestem dzieckiem, Paul. Umiem poznać, kiedy ktoś chce mi pomóc. To, czego doznałam, było podobne do hipnozy, a nie można wprowadzić w nią kogoś, kto się temu sprzeciwia.

Zebrawszy się na odwagę, Andrea odwróciła głowę i spojrzała na niego.

— To mi się podoba. — Jego łagodny ton wyrażał pochwałę. Ku swemu zdziwieniu Andrea zarumieniła się pod wpływem tej pochwały.

Paul zaśmiał się cicho, ale mówił poważnie.

— I nie byłaś sama. Dzieliłem z tobą każdą z tych słodkich chwil ekstazy.

W myślach Andrei zapanował nagle chaos.

On nie...

On nie mógł...

Czy mógł...?

Czy on...?

— Nie, Andrea. — Paul patrzył jej głęboko w oczy.

Andrea mrugnęła. Czy on czytał w jej myślach? Ogarnął ją niepokój. Jego oczy przemawiały do niej pełną znaczeń ciszą.

„Nie, nie mógł czytać w moich myślach ~ stwierdziła z ulgą. — To zresztą nie było konieczne. Te chaotyczne myśli miałam prawdopodobnie wyraźnie wypisane na twarzy”

Kiedy niepewność zniknęła z jej oczu, Paul ciągnął dalej tym samym, dodającym otuchy tonem-

— Moje doznania były czysto psychologiczne w swej naturze, nie fizyczne. Ale nie stały się przez to ani trochę mniej intensywne niż twoje.

— Ja... ja... — Andrea musiała przełknąć, aby rozluźnić ściśnięte gardło.

— Nic podobnego nigdy mi się nie przydarzyło — powiedziała.

— Więc jestem podwójnie zaszczycony.

— Podwójnie?

— Tak. — Uśmiechnął się Paul. — Zaszczycony jestem tym, że to ja wywołałem to przeżycie, i zaszczycony, że mogłem dzielić z tobą jego piękno.

Oczy Andrei zaszyły łzami.

„Jakim mężczyzną jest Paul Hellka?” — zastanawiała się zdziwiona. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który mógłby równać się z nim wrażliwością i głębią zrozumienia i współczucia.

Jej powieki zaczęły się przymykać. Wyczerpana fizycznymi przeżyciami i rozterkami, które nią targały, Andrea nie zauważyła nawet, że usypia.

Westchnęła i odprężyła się. Jakiś kochający głos wyszeptał do jej prawie uśpionego umysłu:

— Śpij, Andreo. Odpoczywaj. Niczego nie musisz się obawiać.

* * *

Mgła zniknęła. Wszystko skapane było w słońcu. Andrea spokojna i szczęśliwa spacerowała sama znajomą ścieżką, nucąc jakąś piosenkę.

Gdy dotarła do starego drzewa na polance, łagodny uśmiech pojawił się na jej ustach. Przystanąła na chwilę, aby spojrzeć na trawiasty kobierzec pod drzewem. Potem, nie oglądając się za siebie, poszła dalej tą samą ścieżką.

Zapach morza stawał się z każdą chwilą wyraźniejszy. Doszła do miejsca, w którym ścieżka skręcała. Rytm jej serca stał się szybszy, słyszała swój puls, czuła się wzniosie.

Była prawie na miejscu.

Przyśpieszając kroku, podążała za silnym już teraz zapachem morza. Docierała do celu!

Gdzieś ponad nią morski ptak krzyknął żałośnie. * * *

Andrea gwałtownie otworzyła oczy, ale natychmiast zmrużyła je w obronie przed rażącym słońcem. Nad jej głową krzyknęła mewa.

Otrząsając się ze snu, usiadła i spojrzała na pusty koc obok siebie.

— Gdzie on jest? — Andreę ogarnął niepokój. Wstała i nagle poczuła się nieswojo. Rozpalony piasek parzył ją w stopy. Gdyby Paul spacerował wzdłuż brzegu, na pewno by go zobaczyła.

Andrea podniosła dłoń do oczu i wpatrywała się w wodę. Naturalne, skaliste falochrony wybiegały w morze po obu stronach plaży, tworząc małą zatoczkę w kształcie litery „U”. Poza osłoną zatoczki, Pacyfik napierał na brzeg. Fale narastały powoli, aby rozbić się na falochronach, rozpryskując wodę wysoko w powietrze.

W dali, poza strefą niespokojnych fal, Andrea dostrzegła głowę brawurowego pływaka.

— Paul! — Jego imię wyrwało się z jej ust, zanim dotarło do jej świadomości. — Paul! — Andrea wiedziała, że on nie może jej słyszeć, ale zawołała znowu: — Paul!

Ku jej zdziwieniu, Paul wyrzucił jedno ramię w powietrze i pomachał jej. Ten gest wydał jej się znajomy, lecz zignorowała dziwne uczucie, jakie w niej wywołał. Krzycząc biegła w kierunku oceanu.

— Paul, podpłyn! Proszę, podpłyn bliżej brzegu!

I znowu zaskoczyło ją, że Paul zdawał się ją słyszeć. Pomachał do niej i zaczął płynąć w jej stronę.

Andrea zamknęła oczy i westchnęła z ulgą. Nie chcąc zagłębiać się w swoje uczucia, otworzyła oczy, aby sprawdzić, jaki dystans pokonał. Widok, jaki ujrzała, zamroził jej krew w żyłach.

Tuż za Paulem wystawało z wody sześć czarnych płetw. Przerazenie ścisnęło jej gardło. Z cichą groźbą rekiny zbliżały się do Paula.

„Rekiny!” — chciała krzyknąć Andrea, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust.

Śmiertelny strach sparaliżował Andreę. Oczyma wyobraźni widziała ogromne rozwarte szczęki i spiczaste, ostre zęby. Poczowała gorzki smak w ustach. Przełknęła kilkakrotnie, chcąc pozbyć się w ten sposób bariery strachu tłumiącej jej głos.

Czarne płetwy sunęły w kierunku płynącego mężczyzny, a potem zaczęły okrążać go, stopniowo zacieśniając kręgi. Niezdolna myśleć, oddychać ani ruszać się, Andrea obserwowała tę scenę z trwożliwą fascynacją. Ze strachem czekała na nieuniknioną furję rekinów i przeraźliwy widok purpury rozlewającej się na powierzchni szafirowej wody.

— Nie. Nie. — Zaczęła mówić modlitwę coraz szybciej i szybciej, aż z tego wszystkiego poczuła silny ból rozsadzający czaszkę.

— Nie! Paul! Nie!

Nagle Andrea zerwała więzy paraliżującego strachu. Wykrzykując jego imię pobiegła do wody.

— Andrea! Nie!

Wiatr przyniósł dźwięk jego głosu. Jakby na komendę, jej nogi odmówiły kolejnego kroku. Uczucie to przypominało doznanie ze snu, który miała poprzedniej nocy, tylko że tym razem to nie był sen, a koszmar na jawie.

Łkając, z trudem chwytając powietrze, Andrea stała nieruchomo na piasku. Płakała, modliła się, wymawiała przez łyzy jego imię. Nagle łkanie zamarło w jej gardle i patrzyła z niedowierzaniem, jak rekiny, okrążywszy jeszcze raz Paula, odpłynęły z powrotem na pełne wody oceanu.

Oniemiała ze zdziwienia, Andrea patrzyła na Paula płynącego powoli do brzegu, do niej. Była zbyt wstrząśnięta, aby zawołać, aby się pośpieszył, i zbyt poruszona, by czuć ulgę.

Szok, który przed chwilą przeżyła, zaczął ustępować wraz z każdym sprawnym, długim ruchem, przybliżającym Paula do spokojnych wód zatoczki. Wypuściła z piersi długo wstrzymywane powietrze.

Zbyt wcześnie; zauważyła kątem oka jakiś ruch na powierzchni wody. Wiedząc, że musi to zrobić, spojrzała w stronę zatoczki.

Zamarła!

Rekiny wróciły, przybliżając się teraz szybciej. Ciemne płetwy zdawały się ciąć rozhuśtane fale, zmierzając prosto na skały. Zanim zdążyła otworzyć usta, by ostrzec Paula, ryby już były przy nim, otaczały go.

— Dobry Boże! Nie! — Ten wewnętrzny krzyk uwolnił jej nogi z unieruchamiających więzów. Andrea nic nie mogła dla niego zrobić. Najwyżej stracić życie razem z nim. Ale nie zastanawiała się nad tym. Wpatrzona w przerażające płetwy, zaczęła biec.

Była już po pas w wodzie, gdy zobaczyła wyskakujące z fal błyszczące, stalowoszare ciało, które wygięło się w powietrzu, wypuściło wysoki i wąski strumień wody i zanurzyło się z powrotem.

— Delifny! — uświadomiła sobie wreszcie. Nie zważając na strumień łez spływających po twarzy, nie zauważając chłodu wody obmywającej jej piersi, Andrea roześmiała się głośno.

Patrzyła na te piękne, rozbawione ssaki, pływające wokół Paula. Szczęśliwa, wsłuchiwała się w docierający do niej jego śmiech, będącym jakby echem jej własnego.

Potem delfiny odpłynęły równie szybko, jak się zjawily. Andrea patrzyła za nimi, dopóki nie zniknęły. Musiała powstrzymać chęć pomachania im na pożegnanie. Potem znowu skoncentrowała uwagę na mężczyźnie, który płynął ku niej.

— Pośpiesz się, proszę, pośpiesz się! — ponaglała go cicho Andrea, której wydawało się, że Paul przybliży się zbyt wolno, zbyt beztrosko. Walcząc ze łzami ulgi, Andrea słała mu nieme błaganie:

— Proszę, Paul, proszę, pośpiesz się, poś...

Nagle Andrea zadrżała. Jej umysł zaczął się buntować.

— Nie, znowu!

Pojedyncza, złowrogo wyglądająca płetwa sunęła nad powierzchnią wody, okrążyła skały po prawej stronie zatoczki i zmierzała prosto na Paula.

— To niemożliwe! To za dużo... o wiele za dużo! — Buntowała się targana emocjami Andrea.

Krzykowi ostrzegawczemu brakło mocy.

— Płyn Paul! Jest jeszcze jeden za tobą!

Widziała, jak Paul odwraca głowę i robi najdziwniejszą z możliwych rzeczy. Przestał płynąć. Unosząc się na wodzie, Paul obracał się w miejscu, w miarę jak rekin go okrążał. Ogromne cielsko zataczało coraz mniejsze kręgi wokół niego. Gdy płetwa rekina znalazła się w zasięgu jego ręki, Paul wyrzucił w bok jedno ramię. Płetwa zniknęła pod wodą. Kiedy znowu się wyłoniła, była już daleko od Paula i płynęła w kierunku otwartego oceanu.

Andrea nie mogła zrozumieć, co skłoniło potwora do odwrotu. Przypomniało jej się, że słyszała lub czytała gdzieś, iż można odstraszyć rekina silnym ciosem w nos.

„Czy kiedy Paul wyrzucił rękę w bok, zadał rekinowi...?” — Myśli Andrei rozproszyły się. Paul podpłynął na tyle blisko brzegu, że mógł stanąć na dnie. Odgarnął włosy z twarzy i podszedł do niej. Nie wyglądał na przerażonego czy ogarniętego paniką.

Uśmiechnął się!

Jego uśmiech ją załamał.

Wydała z siebie stłumiony okrzyk, w którym zawarte były i płacz i śmiech. Podbiegła do niego, przywarła drżącym ciałem do jego silnego ciała. Obejmując go mocno, schowała twarz w wilgotny gąszcz jedwabistych nitek na jego piersi i zaczęła popłakiwać.

Paul przez chwilę stał nieruchomo i sztywno. Potem Andrea poczuła, jak oddycha. Usłyszała głębokie westchnienia. Po chwili objął ją silnym, przywracającym otuchę uściskiem.

„Jest bezpieczny... bezpieczny!” — Ta świadomość zredukowała Andreę do bezwładnej, roztrzęsionej istoty, zdolnej jedynie do bełkotu.

— Paul... rekiny... Byłam przerażona... Chciałam pomóc... delfiny... Nie mogłam uwierzyć... ja...

— Andrea. — Jego głos był równie kojący jak ręka, którą delikatnie gładził jej plecy.

Nie dbając o łzy zbierające się w jej oczach, Andrea spojrzała w górę na niego. Na jego twarzy malowała się bezgraniczna czułość, a w oczach zabłysły kontrastujące z nią iskierki surowej zmysłowości. Powoli, jak gdyby wbrew własnej woli, opuścił głowę. Jego aksamitny głos stał się chrapliwy.

— Och, Andreo...!

Jego usta dotknęły ust Andrei z delikatnością pajęczyny. Jego wargi niczego nie żądały od jej ust. To był słodki, uspokajający, dodający otuchy pocałunek.

Andrea westchnęła.

Paul znowu przylgnął ustami do jej delikatnych warg, ale zrobił to w sposób raczej chłodny i opanowany. Jego ciepłe, niespokojne ręce natomiast pieściły jej plecy, zadając kłam beznamietnemu pocałunkowi.

Andrea poczuła słodycz tego pocałunku, każdym nerwem odbierała sygnały spragnionych dłoni Paula. Jej dusza dała się ponieść, a ciało topniało pod wpływem żaru pieścizot. Jej umysł poddał się. Jęknęła cicho, rozchyliła usta i przycisnęła je do jego warg. Przez jedną wspaniałą chwilę poczuła się jak w raju. Chwila ta trwała jednak zbyt krótko i pozostawiła po sobie przenikliwą tęsknotę.

— Nie, Andreo — wyszeptał Paul, cofając głowę. — Nie w ten sposób. Jesteś teraz zbyt bezbronna.

— Mogłeś zginąć! — zawołała, wzdygając się na to wspomnienie.

— Nie. — Paul potrząsnął głową. — Ani przez chwilę nie byłem w niebezpieczeństwie. — Jego uśmiech stał się filuterny. — Mówiłem ci, że nie ma się czego bać.

— Nie ma się czego bać?! — zawołała z oburzeniem Andrea, wyrывая się z jego objęć. — Przecież to były rekiny! — powiedziała z wielkim przejęciem, jak gdyby on o tym nie wiedział.

— Delfiny — poprawił ją Paul, hamując drganie ust. Przejścia sprzed chwili napięły nerwy Andrei do granic możliwości, w głosie jej zabrzmiała złość:

— Paul, ja wiem, co widziałam! Podpłynęły do ciebie rekiny!

Po przyjacielsku położył rękę na jej ramieniu.

— Chodź — powiedział delikatnie. — Jesteś zdenerwowana. Odprowadzę cię do domu.

Przeżycia sprzed kilku chwil, ulga jaka po nich nastąpiła, a nawet łagodność Paula sprawiały, że Andrea czuła się zupełnie rozbita psychicznie.

Wyrwała się z jego objęć, zrobiła krok w tył i powiedziała wyważonym tonem:

— Mówiliśmy już o tym, Paul. Nie jestem dzieckiem. Nie traktuj mnie więcej tak, jakbym nim była.

— Traktować cię jak dziecko? — Jego uśmiech zdradzał głęboką, wewnętrzną tęsknotę. — Ach, Andreo... gdybyś tylko wiedziała!

Potrzeba odreagowania stresu utrudniała Andrei panowanie nad sobą.

— Gdybym tylko co wiedziała? Nie rozumiem cię. Nie rozumiem, co dajesz mi do zrozumienia, nie chcąc o tym mówić! Ja... Ja... Do diabła! Idę do domu!

Wyminęła go i pobiegła wzdłuż plaży rozdrażniona, nie pamiętała, że Paul właśnie chciał ją odprowadzić do domu.

* * *

„Mógłby mnie dogonić bez najmniejszego wysiłku” — ta myśl kilkakrotnie przychodziła Andrei do głowy, odkąd wróciła do domu.

W tym czasie wzięła prysznic, zmusiła się do zjedzenia grzanki i wypicia szklanki mleka i cały czas płakała. Najbardziej frustrowało ją to, że nawet nie wiedziała, dlaczego płacze.

Spokojniejsza, ale wciąż rozdrażniona i w złym nastroju, Andrea skuliła się na fotelu, aby obserwować zachód słońca.

Zanurzało się ono powoli za linię horyzontu, malując niebo jaskrawymi barwami. Tego wieczora Andrea wykazywała wyjątkową wrażliwość na rozmaite odcienie różu i czerwieni, złota i fioletu.

„Natura jest taka wspaniała — myślała Andrea z zachwytem. — Dlaczego życie często musi być tak bolesne?”

Jeden z tak odczuwanych momentów miał miejsce, gdy Paul wreszcie przyszedł z plaży. Sam fakt, że pozostał tam jeszcze ponad godzinę po jej nagłej ucieczce, sprawił jej przykrość. Nie mogła albo nie chciała tego zrozumieć. Powodowana wewnętrznym bólem, przybrała zimną i oschłą postawę.

Paul nie wydawał się ani skonsternowany, ani onieśmielony jej zachowaniem.

— Zapomniałaś o swoich rzeczach — powiedział, uśmiechając się przy wręczaniu jej torby plażowej i nie zjedzonych bułeczek.

Starając się nie zdradzić ze swoimi prawdziwymi emocjami, Andrea zdobyła się na odwzajemnienie uśmiechu i uprzejmy ton.

— Dziękuję, że je przyniosłeś.

Zacząła się wycofywać do drzwi. Zatrzymał ją, nie podnosząc ani głosu, ani ręki.

— Dasz sobie radę? Andrea podniosła podbródek.

— Oczywiście — powiedziała tonem zapewnienia, mimo że kłamstwo niechętnie przeszło przez jej usta. Całe lata świetlne dzieliły ją od dobrego samopoczucia.

— Jestem trochę zmęczona — wcisnęła mu wyświechtany frazes. — Nie powinnam była spać na słońcu. To... hm, zawsze źle na mnie wpływa — improwizowała niezręcznie.

— Rozumiem.

Głos Paula nie zmienił się, ale Andrea wyczytała z jego oczu, że ją przejrzał. Wiedziała, że Paul wszystkiego się domyśla, a mimo to ciągnęła dalej:

— Tak, myślę więc, że położę się wcześniej spać. — Zamknęła drzwi do połowy i dodała: — Do zobaczenia.

— Jej ton negował obietnicę zawartą w tych słowach.

— Nie wątpię — wymamrotał Paul, sięgając do klamki. — Zapisałaś się na mój kurs, pamiętasz?

Nie czekając na odpowiedź, ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Andrea wpatrywała się w nie przez pełne trzydzieści sekund. „Pamiętasz? Pamiętasz? — myślała rozzłoszczona. — Marzę tylko o tym, żeby móc zapomnieć” — walczyła ze łzami zrodzonymi z frustracji i rozterki.

Była wciąż spięta aby nie pozostawać w jednym miejscu dłużej niż parę minut, zaczęła snuć się po domu.

Spędziwszy ostatnie cztery lata w jednym mieszkaniu z dwoma współlokatorkami, nie mogła się oswoić z rozmiarami domu. Wydawał jej się zbyt duży, zbyt pusty.

Sama czuła się pusta.

Uciekając przed tym uczuciem, Andrea poszła do sypialni, ale myśli podążyły za nią. Pustka. To jej życie w skrócie. Puste życie. Puste sny. Puste ciało. Andrea zakryła ręką usta, aby stłumić jęk.

Chciała, żeby on wypełnił pustkę jej ciała.

Wraz z tym niemym wyznaniem, wspomnienia z popołudnia zalały jej umysł, pogrążając Andree w swych odmętach. Powiedziała Paulowi, że nie rozumie. To mało powiedziane. Osłabiona przeżyciami, Andrea pozostawała bezsilna wobec pytań, które kłębiły się w jej głowie.

Dlaczego tak silnie reagowała na jego głos? Dlaczego on powiedział, że nie było żadnych rekinów?

Dlaczego powstrzymał ją przed podpłynięciem do niego?

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Wciąż więcej pytań huczało w jej głowie. Nie znajdowała na nie odpowiedzi. Otrząsnęła się i dotknęła czoła. Może nie miała odpowiedzi na nurtujące ją pytania, ale z pewnością zaczynała mieć solidny ból głowy.

Szperała właśnie w domowej apteczce, gdy Celia wróciła do domu.

— Andrea, skarbie, jesteście! — zawołała z salonu. — Czy wyglądasz przyzwoicie?

„Przyzwoitość” — pomyślała Andrea, rumieniąc się na wspomnienie swojego przeżycia na plaży.

— Tak — odpowiedziała głośno.

— Więc chodź, napij się z nami wina — zawołała Celia. — Chcę ci pokazać, co kupiłam.

Pomimo klucia w skroniach Andrea musiała się uśmiechnąć. Kiedy przychodziło do zakupów, Celia zachowywała się jak podniecone dziecko. Każda nowa rzecz wprawiała ją w zachwyt. Odkąd Andrea zamieszkała z ciotką, często myślała, że chciałaby zachować choćby w części tyle entuzjazmu dla życia, co Celia.

— Przyjdę za chwilę — powiedziała Andrea, łykając dwie białe tabletki. Skrzywiła się, gdy jedna z nich otarła się o język.

„Do licha!” — pomyślała, idąc do sypialni. Sama nie wiedziała, co gorsze: pigułki czy ból! Przechodząc koło łóżka, podniosła z niego swój lekki szlafrok. Narzuciła go na krótką, nocną koszulę i skierowała się do drzwi.

Nie bardzo miała ochotę na lampkę wina. Szumiało jej w głowie i bez alkoholu. Spodziewała się jednak, że w wesołym towarzystwie ciotki i Blaine’a uwolni się od dręczących pytań, które wywołały ten okropny ból głowy.

W końcu jednak wypła kieliszek wina i — ku jej zdziwieniu — ból złagodniał. Nie wiedziała tylko, czy dzięki winu, czy rozmowie.

Celia z dumą rozkładała przed Andrea swoje nowe nabytki. Potem na zmianę, a czasem równocześnie, opowiadali jej, jak spędzili dzień. Kiedy wreszcie wróciła do sypialni, przyszło jej na myśl, że chociaż dzień spędzony przez Celię i Blaine’a był ciekawy, to jednak w porównaniu z tymi kilkoma godzinami, które ona spędziła z Paulem, wydawał się zwyczajny.

Wszystkie wspomnienia, całe napięcie na myśl o nim wróciły. Znowu, razem z rosnącym bólem głowy, zaczęły ją dręczyć. Andrea udała się do łazienki z zamiarem łyknięcia kilku kolejnych tabletek aspiryny. Ale zanim tam doszła, rozmyśliła się i stanęła. Oczy jej błyszczały determinacją.

Pigułki nie pomogły. Wino nie pomogło. Kilka godzin wesołej rozmowy nie pomogło.

„Może— rozumowała Andrea — przyszedł czas, żebym sama sobie pomogła?”

Nie zdając sobie z tego sprawy, Andrea zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem.

„Dobrze, zacznij od początku — powiedziała sama do siebie. — Zobaczymy, czy da się uporządkować wszystkie te dziwne wydarzenia, które miały miejsce od chwili pojawienia się mężczyzny z krwi i kości, który był wcieleniem marzeń z twoich snów”

Jej brwi ściągnęły się w wyrazie koncentracji. Pierwszym krokiem w kierunku odnalezienia sensu tego wszystkiego musiało być uznanie faktu istnienia Paula. Wydawało jej się to niemożliwe od chwili kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Jednak on istniał naprawdę. Chodził, mówił, śmiał się... Andrea zastygła, ale zmusiła się do skończenia myśli. — „Całował. — Jęknęła. — Boże, jak on całuje!”

„Weź się w garść i wróć do sprawy — strofowała się Andrea. — Paul mógł wyglądać jakby żywcem przeniesiony z moich snów, ale był człowiekiem z krwi i kości. Tylko jak zrozumieć te wszystkie podobieństwa?”

Andrea domyślała się, że to właśnie podobieństwa przyprawiały ją o ból głowy i kazały rozmyślać. Postanowiła rozprawić się z nimi pojedynczo, przywołując w pamięci jedno po drugim.

We śnie jej kochanek powiedział: „Niczego nie musisz się obawiać”. W rzeczywistym świecie Paul kilkakrotnie powiedział to samo.

W jej śnie kochanek czule otworzył przed nią drzwi raju. Paul również czule sprawił, że przeżyła podobne, wyjątkowe chwile.

Kiedy biegła rozpaczliwie przez mgłę, jej Miłość zawołała do niej: „Andrea!” Kiedy biegła z takim samym uczuciem ku morzu tego popołudnia, Paul zawołał do niej... „Andrea!”

Jej Miłość ze snu uniosła ramię na pożegnanie. Paul w ten sam sposób podniósł rękę, gdy był w wodzie.

„Skąd się wzięły te wszystkie podobieństwa? Zwykły zbieg okoliczności? — pytała Andrea swój zmęczony umysł, wciąż chodząc. — Nawet gdyby, to wciąż jest w Paulu coś dziwnego”

Andrea potrzęsnęła niecierpliwie głową. Co takiego było w tym mężczyźnie, który wytrącał ją z równowagi? Z zachowania się Celi i Blaine'a jasno wynikało, że żadne z nich nie uważało go za dziwnego lub innego.

„Ale on jest inny! — upierała się Andrea. Odgarnęła włosy drżącą ręką i przypomniało jej się, że zawiązał jej warkocz wodorostem. — Cóż, to jeszcze nie dowodzi tego, że jest inny” — musiała przyznać.

A tamto niesamowite przeżycie na plaży? Paul doprowadził ją do ekstazy, nie dotykając jej nawet!

Ale on pieścił najwrażliwszą sferę erogenną ludzkiego ciała — jej umysł.

Andrea znieruchomiała. Jej gardło znowu ścisnął strach. Zginała i rozprostowywała palce.

I nagle dotarła do niej jeszcze jedna rzecz — Paul pływał z rekinami.

Jak lunatyczka, powoli pokręciła głową w przeczącym geście. To przecież niemożliwe, żeby człowiek pływał z rekinami. Rekiny to żarłoczne bestie, to prawdziwe pożerające maszyny!

Jeszcze raz westchnęła...

Myśl! Przypomnij sobie!

Zamknawszy oczy, Andrea powróciła w pamięci do tej sceny. Znowu ogarnęło ją przerażenie. Od nowa przeżywała te wydarzenia. Widziała złowróżbne płetwy tnące wodę. Radość znowu pokonała strach, gdy przypomniała sobie piękno bawiących się delfinów. Przerażenie wróciło wraz z widokiem pojedynczej płetwy, zbliżającej się do Paula. Gdyby nie wyrzucił ręki, aby go uderzyć... Nie!

Oczy Andrei otworzyły się szeroko. Nawet z otwartymi oczami nie zauważyła niczego w pokoju, widziała za to wyraźnie każdy szczegół tego mrozącego krew w żyłach momentu. Widziała... Zobaczyła...

„Paul nie uderzył rekina! Wyciągnął rękę, aby go pogłaskać!” — Andrea zamrugnęła i rozejrzała się wokół z lękiem. Nie była na plaży, lecz w swoim bezpiecznym pokoju. Wciąż jednak czuła drżenie niepokoju, drżenie wywołane pytaniem uparcie zadawanym przez jej umysł: „Jakim człowiekiem jest Paul?”

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lekkie stukanie do drzwi wytrąciło Andreeę ze snu. Poruszyła się, walcząc z kuszącym zapomnieniem. Otworzyła oczy, gdyż pukanie powtórzyło się. Tym razem rozległo się po nim ciche wołanie:

— Andrea, nie śpisz? — Celia nieco podniosła głos, aby mógł się on przedostać przez zamknięte drzwi sypialni. — Dzwoni Melly. Czy mam jej powiedzieć, żeby zadzwoniła później?

„Melly?” — Andrea zamrugnęła i spojrzała na sufit. Dopiero teraz odzyskała pełnię świadomości.

— Nie, ciociu — odpowiedziała. — Zaraz zejść. Usiadła i zwiesiła nogi z łóżka. Jej ciało było ociężałe, umysł rozleniwiony.

— Która godzina? — zapytała schrypniętym głosem.

— Dwadzieścia po jedenastej — odpowiedziała Celia, odchodząc od drzwi.

— Dwadzieścia po jedenastej! — wykrzyknęła Andrea. Wstała gwałtownie, ale musiała chwycić się oparcia łóżka, aby złapać równowagę. Miała wrażenie, że głowa jej zaraz spadnie z ramion.

Stała nieruchomo, dopóki nie odzyskała kontroli nad zaspanymi zmysłami. Potem podeszła, nie bez kłopotów, do drzwi. Długa noc, jaką spędziła rzucając się w łóżku i niespokojne sny, które potem miała, wciąż wywierały na nią dziwny wpływ; Andrea poruszała się jak lunatyczka.

Dotarcie do telefonu, zawieszzonego na ścianie w kuchni, wymagało od niej maksymalnej koncentracji i ostrożności. Samo podniesienie słuchawki do ucha zdawało jej się być zadaniem niewykonalnym.

— Halo! — Andrea z ledwością rozpoznała własny głos. - Melly?

— Dobrze się czujesz? — W zazwyczaj wesołym głosie Melly pobrzmiwała nuta niepokoju.

Andrea drgnęła, ten sam ton słyszała wczoraj w głosie Paula. Ze słabym uśmiechem wdzięczności przyjęła od Celi, która nagle znalazła się przy niej, szklaneczkę soku. Wzięła duży łyk, aby zwilżyć wyschnięte gardło, potem z głębokim westchnieniem odpowiedziała przyjaciółce:

— Tak, Melly, czuję się dobrze. Dopięła się obudziłam i wciąż jestem trochę nieprzytomna.

— Dopiero się obudziłaś? — Melly była zgorszona. — Andrea, to już przecież pora lunchu!

— Uhm... — Andrea spojrzała na zegar. — Wiem — odpowiedziała i ziewnęła. — Długo nie mogłam zasnąć, a potem źle spałam. Pewnie dlatego zaspałam. — Zdziwiła się, że mówi to wszystko. Przecież nie miała obowiązku tłumaczyć się Melly!

Tak, właśnie, nikomu nie musiała się tłumaczyć!

— Rozumiem — powiedziała Melly tonem, który świadczył o tym, że tak naprawdę, to nic nie rozumiała. Następne, z ożywieniem wypowiedziane słowa dowiodły, że brakowało jej również wycucia. — Ja nigdy nie miewam kłopotów z zaśnięciem.

„To się ciesz” — Andrea zachowała ten komentarz dla siebie i powiedziała cierpliwie:

— Czy dzwonisz z konkretnego powodu, czy tylko żeby... — połknęła wyraz „potraktować” i wstawiła w jego miejsce inny. — Pogadać?

Andrea szczerze lubiła Melly, ale czasami płochość koleżanki wydawała jej się zbyt trywialna.

— Oczywiście, że dzwonię w konkretnej sprawie! — wykrzyknęła Melly.

Andrea westchnęła. Zaczynała czuć potrzebę posiadania białego fartucha, gumowych rękawic i obcęgow do wrywania zębów.

— Czy powiesz mi, o co chodzi, czy oczekujesz, że zgadnę? — zapytała cierpliwie, rzucając tęskne spojrzenie w kierunku dzbanka z kawą, stojącego na stole.

Melly głośno wciągnęła powietrze i zachichotała — były to dwie rzeczy, które robiła całkiem często.

— Nie, głuptasie! Oczywiście, że nie musisz zgadywać! — znowu wykrzyknęła, to również często robiła.

„I ona nazywa mnie głuptasem” — pomyślała Andrea.

— Więc powiesz mi, co to jest? — ponagliła, gdyż zaczynała już tracić wątek konwersacji.

— Co „co to jest? — zapytała niewinnie Melly. Andrea zamknęła oczy i pochyliła się, aby oprzeć czoło o gładką ścianę.

— Powód, dla którego dzwonisz, Melly — odpowiedziała zniecierpliwiona.

— Aa, tak! — Melly znowu zachichotała. — Sara dzwoniła do mnie parę minut temu. Powiedziała mi, że zbiera się dzisiaj cała paczka, żeby nacieszyć się plażą przed rozpoczęciem jesienno-zimowego semestru — wytłumaczyła wreszcie. — Chcesz przyjść?

„Paczka” składała się z ludzi pomiędzy dziewiętnastym a trzydziestym pierwszym rokiem życia. Wszyscy byli studentami Parker College. Andrea stała się członkiem tej grupy za pośrednictwem Melly.

Plaża. Andrea wzdrygnęła się. Już miała odrzucić zaproszenie, ale w ostatniej chwili się namyśliła.

Plaża, na której spotykała się „paczka”, była daleko od małej zatoczki u stóp domu Celi, i chociaż wznosił się nad nią klif, nie było tam skalistych ostróg wychodzących w morze. Te dwie plaże prawie w niczym siebie nie przypominały. Poza tym przebywanie w zazwyczaj wesołym gronie, mogło pomóc jej w odzyskaniu równowagi duchowej.

— Andreo, zasnąłś? — zapytała z oburzeniem Melly. Andrea nie mogła powstrzymać śmiechu. Wyobraziła sobie bladą twarz Melly, na którą w chwilach irytacji wychodziły różowe plamy.

— Nie, Melly — powiedziała uspokajająco. — Myślałam tylko. O której zaplanowaliście imprezę?

— Wszystko jedno — powiedziała Melly. — Nie zdziwiłabym się, gdyby paru ludzi już tam pojechało.

— Aha! — Andrea zamilkła na moment. Potem zapytała: — Czy wszyscy coś przynoszą?

Na tej zasadzie zwykle odbywały się ich spotkania: każdy przynosił coś do jedzenia lub picia albo lód do przechowywania żywności.

— Jasne — powiedziała Melly. — Jeżeli chcesz iść, mogę po ciebie wpaść. Zatrzymamy się przy supermarkecie po drodze i kupimy nasz wkład.

Andrea jeszcze chwilę się wahała, ale w końcu powiedziała:

— Dobrze, Melly. O której tu będziesz?

— Powiedzmy... za czterdzieści pięć minut?

— Powiedzmy, że za godzinę. Zapomniałaś, że nie wypięłam jeszcze nawet kawy, że nie wspomnę o śniadaniu — powiedziała Andrea.

Gdy Melly zajęła na podjazd swoim sportowym samochodem, Andrea była już gotowa. Jaskrawopomarańczowa bluza i białe szorty zakrywały ten sam kostium kąpielowy, który miała na sobie poprzedniego dnia. Rzemienne sandały chroniły jej stopy. Chcąc uniknąć ewentualnej konieczności szukania czegoś do związania włosów, spięła je z tyłu za pomocą dużej, plastikowej spinki w kształcie motyla.

Z powodów, których nawet nie chciała dociekać, zachowała kruchy, wysuszony kawałek wodorostu, którego użył Paul do związania jej włosów.

Strofując się za to, jednak włożyła go ostrożnie do małej kasetki, w której przechowywała najcenniejsze pamiątki.

— Cześć! — powitała ją Melly, gdy Andrea wsunęła się na niskie siedzenie obok niej. — Gdzie byłaś wczoraj? Dzwoniłam do ciebie kilka razy po południu!

Andrea zapięła pas, potem sprawdziła palcami, czy spinka dobrze trzyma włosy.

— Całe popołudnie spędziłam, na plaży — odpowiedziała, uśmiechając się, aby odciągnąć uwagę od napięcia w jej głosie. — Trzeba było zadzwonić po obiedzie. Siedziałam w domu przez cały wieczór.

Melly wycofała samochód z podjazdu, potem dopiero odpowiedziała:

— Miałam randkę! — Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— To ciekawe. Chcesz o tym porozmawiać? — Z góry znała odpowiedź. Melly zawsze chętnie opowiadała o swoich randkach.

— Jest wspaniały — westchnęła Melly dramatycznie.

Andrea przewróciła oczami i z wdzięcznością pomyślała o swoich dużych, lustrzanych okularach słonecznych, które to zasłoniły.

— Pod jakim względem? — zapytała, znowu pewna odpowiedzi. Mężczyźni Melly zawsze byli wspaniali pod każdym względem.

— Pod każdym względem — brzmiała odpowiedź zakończona głębokim westchnieniem.

Andrea jęknęła cicho i znowu pomyślała o białym fartuchu, gumowych rękawiczkach i obcęгах do wrywania zębów.

— Czy to może znowu wcielenie doskonałości? Melly uśmiechnęła się łobuzersko.

— Przygotuj się — ostrzegła żartobliwie. — Padniesz trupem, kiedy ci powiem, kto to jest.

„Niestety, Melly, ktoś cię wyprzedził. Ja i tak ledwo żyję” — pomyślała Andrea.

— Nie mogę się doczekać — powiedziała głośno. Melly milczała przez moment, chcąc stworzyć odpowiednie napięcie, a potem oznajmiła z dumą:

— To jest Donald McElly!

— Mac?! — Andrea spojrzała zaskoczona. Donald — albo Mac, jak wszyscy go nazywali — był trzydziestoletnim, najspokojniejszym, najbardziej skrytym członkiem „paczki” a to równocześnie oznaczało, że stanowił przeciwieństwo otwartej i gadatliwej Melly.

— Tak, Mac. — Głos Melly lekko zadrżał, co jeszcze bardziej zaskoczyło Andree. — Ja... jestem w nim zakochana. — Przygryzła usta. — I to mnie przeraża, Andreo.

— Och, Melly — wymamrotała Andrea pogłaskała delikatnie włosy Melly, chcąc ją pocieszyć. — Jak sama powiedziałaś, Mac jest wspaniałym człowiekiem. Dlaczego miłość do niego miałaby cię przerażać?

Melly pociągnęła nosem.

— Bo boję się, że to się nie uda. — Oderwała na chwilę wzrok od jezdni, aby spojrzeć na Andree. — Jesteśmy tacy różni.

Andrea dobrze rozumiała, co Melly czuje. W jej głowie pojawił się obraz mężczyzny wysokiego, smukłego, niewiarygodnie przystojnego i dziwnie innego niż wszyscy. „O rany” — pomyślała, odpędzając od siebie ten widok. Zamiast przejmować się swoimi problemami, postanowiła dodać otuchy przyjaciółce.

— Zawsze słyszałam, że przeciwieństwa się przyciągają. Czy ta różnica przeszkadza Macowi?

Melly zachichotała.

— Sądząc po jego zachowaniu, powiedziałabym, że wcale.

— A czy Mac cię kocha?

— Mówi, że tak. — Melly uśmiechnęła się. Andrea przez moment siedziała cicho. Dopiero kiedy

Melly zaparkowała przed supermarketem, zdobyła się na zadanie najważniejszego dla niej pytania:

— Czy mu ufasz?

Melly zaciągnęła ręczny hamulec, potem spojrzała na przyjaciółkę oczyma, w których nie było cienia wątpliwości.

— Całkowicie.

Andrea uśmiechnęła się i otworzyła drzwiczki.

— Wobec tego sądzę, że nie masz się czym martwić.

Dopiero w sklepie zastanowiły się, co właściwie chcą kupić. Andrea chwyciła wózek na kółkach i zaproponowała:

— Może kupimy ostrygi?

— Dreen przyniesie ostrygi i chipsy ziemniaczane.

— Pikle? Oliwki?

— Mari coś o tym wspomniała — odpowiedziała Melly, pilnie oglądając półki.

Andrea zatrzymała się przy końcu działu z przekąskami.

— Słuchaj, jeśli się nie pospieszymy z tymi zakupami, to przyjęcie skończy się, zanim my wyjdziemy z tego sklepu — powiedziała. — Może po prostu powiedz mi, co na pewno przyniosą inni, i dopiero wtedy pomyślimy o zakupach.

— Myślę, że Janice przyniesie wodę sodową, a Mike piwo. Dan powiedział, że zajmie się lodem, a Sara ma wziąć coś do picia... Ach, Bobby przyniesie słodkie pieczywo, a Mac hot-dogi i hamburgery. — Melly uniosła brwi. — No to, jak myślisz?

Andrea myślała o chrupkim, francuskim pieczywie i ostrym serze z kawałkami jarzyn, o chłodnej sałatce z owoców i białym winie.

— Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Może weźmiemy parę arbuzów?

— Świetnie! — zgodziła się Melly, ruszając bez wahania ku działowi owoców.

Ta część plaży, na której zwykle zbierała się „paczka”, znajdowała się niedaleko naturalnej przerwy między klifami. Znalazło się tam trochę miejsca i na parking. Melly zostawiła swój samochód tuż obok jeepa Maca.

Na plaży paliło się niewielkie, fachowo rozpalone ognisko. Kilka kobiet zajętych było rozpakowywaniem jedzenia, wstawianiem napojów do chłodziarki oraz rozkładaniem koców i obrusów. Nie było widać żadnego mężczyzny.

Melly rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu Maca.

Dwie dziewczyny pomogły Andrei schować arbuzy do chłodziarki. Niektóre najwyraźniej kąpały się już w oceanie, bo miały mokre kostiumy i włosy.

— Gdzie są panowie? - zapytała Melly.

Janice — drobna, rudowłosa dziewczyna — wskazała na ocean.

— Są w wodzie. Siedzą tam, odkąd 4u przyjechaliśmy. — Wzdrygnęła się. — Musieli chyba powariować. Woda jest zimna.

Andrea spojrzała na ocean i uśmiechnęła się na widok mężczyzn, sztubacko bawiących się w wodzie.

— Im to chyba nie przeszkadza — zauważyła. Przypomniła jej się inny mężczyzna, który pływał się w zimnej wodzie poprzedniego dnia.

— Mam nadzieję, że Mac się nie przeziębi — mruknęła Melly.

Andrea zsunęła szorty, zdjęła górę i usiadła na jednym z koców. Był on przepięknie tkany. Miał wyraziste kolory ziemi, połączone z białymi

akcentami. Andrea nie wiedziała, do kogo należał, ale położyła się na nim, przekonana, że jego właściciel nie będzie miał nic przeciwko temu.

Ukołysana rozmową toczącą się wokół niej, zamknęła oczy. Oddała się rozmyślaniam o nocy, którą spędziła, usiłując zrationalizować nierealną sytuację, w jakiej się znalazła.

Strzępy wspomnień przewijały się przez jej zmęczony umysł. „Czy wydawało mi się tylko, że słyszę skryte pragnienie w jego głosie, gdy westchnął: „Och, Andreo?” Co miał na myśli mówiąc: „Nie, Andreo. Nie w ten sposób. Jesteś teraz zbyt bezbronna” — Po raz setny zadawała sobie to pytanie. — Chyba że... Paul mógł mnie wtedy mieć. Chciałam, żeby mnie wziął. On też mnie pragnął, tego jestem pewna. Zdradziło go jego ciało. Ale odmówił tego mnie i sobie... Z powodu mojej bezbronności? Czyżby on się o mnie troszczył? Czyżby mnie chronił przed samą sobą?” — zastanawiała się Andrea.

Te myśli wstrząsnęły nią. Bycie pod opieką i ochroną mężczyzny, było dla niej czymś zupełnie nowym. Intrygowało ją to i uspokajało zarazem. „Ale on mnie przecież prawie nie zna — przypomniała sobie Andrea. — Czy to możliwe, żeby mężczyzna troszczył się tak bardzo o kobietę, którą dopiero co poznał?”

Jeszcze poprzedniego dnia Andrea odpowiedziałaby na to pytanie kategorięcznym „Nie”.

Teraz zastanawiała się nad własnymi uczuciami: „Przecież pobiegłam do niego, mimo że boję się rekinów. Nie myślałam wtedy o swoim bezpieczeństwie, tylko o tym, żeby mu pomóc. Czy taka spontaniczna reakcja nie świadczy o tym, że ja również coś do niego czuję?”

Tak.

Określenie uczuć, jakie żywiła do Paula spowodowało, że Andrea odprężyła się.

Już prawie zasypiała, gdy rozbudziły ją głosy mężczyzn. Ktoś usiadł koło niej. Zesztywniała na dźwięk swojego imienia, wypowiedzianego miękkim głosem:

— Andrea.

- Paul!

Andrea gwałtownie otworzyła oczy. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Przez chwilę myślała, że to spotkanie jest figlem jej wyobraźni. Wreszcie przekonała się, że Paul stoi przed nią naprawdę.

Wilgotne, czarne loki okalające jego twarz sprawiały wrażenie wyrzeźbionych przez greckiego artystę. Na opalonej skórze błyszcząły kropelki wody, a piękne usta układały się w łagodnym uśmiechu. Ciemnoniebieskie, wyraziste oczy zdawały się widzieć wszystko: niepokój w oczach i paniczne bicie jej serca, a także szybki, nierówny oddech i wynik odkrycia, którego dokonała przed chwilą.

— Boisz się mnie — powiedział cicho Paul. — Dlaczego?

Andrea popatrzyła wokół siebie, żeby się upewnić, iż nikt tego nie usłyszał. Znów spojrzała na niego. „Dlaczego? Bo pływasz z rekinami! Bo nawiedzasz moje sny!” — Andrea zacisnęła usta, aby nie powiedzieć tego głośno. Nie była w stanie znieść jego badawczego spojrzenia, więc spuściła oczy. Przeciągnęła ręką po gładkiej tkaninie, na której siedziała.

— Czy to twoje? — zapytała, aby zmienić temat.

— Tak, moje — odpowiedział Paul.

Andrea drgnęła. Wydawało jej się, że słyszy jego szept: „Tak jak ty jesteś moja” Spojrzała szybko w górę. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, jego plecy były wyprostowane, ale nie usztywnione, głowę przechylił lekko do tyłu. Ciepło jego uśmiechu mogłoby roztopić lody Arktyki.

— Nie musisz się niczego obawiać z mojej strony, Andreo — wyszeptał. — Nigdy cię nie skrzywdzę.

Z niewiadomych powodów, Andrea wierzyła mu, ale to przerażało ją jeszcze bardziej. Bo jak można wierzyć mężczyźnie, którego się nie zna? Zdradziły ją oczy.

Paul westchnął.

— Zajmie to trochę czasu, ale w końcu zrozumiesz — obiecał.

Andrea potrząsnęła głową. Nie wiedziała, co takiego miałyby zrozumieć. Nie była nawet pewna, czy chce wiedzieć. Ale za to wyczuwała, że w jego żyłach płonie ogień, rozpoznawała naglące pragnienie, któremu także poddawało się i jej ciało. Znała te objawy, pojawiły się niedawno — tego popołudnia, kiedy kochała się we śnie ze swoim wymyślonym mężczyzną, a także potem, kiedy leżała z Paulem na plaży. Poderwała się na równe nogi i uciekła od niego do bezpiecznego grona znajomych.

Przez resztę dnia unikała go, jak mogła. Bała się swoich uczuć i podejrzeń w stosunku do Paula, ale przede wszystkim przerażało ją to, że pragnęła być z nim. Tylko z nim.

Paul wielokrotnie odszukiwał ją oczami, za każdym razem Andrea zmuszona była walczyć z chęcią podejścia do niego. W takich chwilach

zadawała sobie pytanie, które dręczyło ją przez ostatnią noc: „Jakim on jest człowiekiem?”

Wszyscy oprócz niej akceptowali go bez żadnych wątpliwości. Więcej, obdarzali go szacunkiem graniczącym z czcią. Zdawała sobie sprawę, że nikomu nie wydawał się „inny”, przynajmniej nie w tym sensie, który Andrea miała na myśli.

Czuł się dobrze zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Śmiał się często. Nigdy nie podnosił głosu. Pod wieczór Andrei udało się porozmawiać z Melly na osobności. Kroiły arbuzy. Andrea mimochodem zauważyła, że ani razu nie słyszała, żeby Paul krzyczał, nawet gdy grał w piłkę ze wszystkimi mężczyznami.

— Znam Paula od roku, ale nigdy nie słyszałam jego podniesionego głosu — odpowiedziała Melly, wzruszając ramionami.

Dalej kroila arbuza, ale po chwili dodała: — Tak właściwie, to nigdy jeszcze nie był zły. Może nie jest człowiekiem — zażartowała.

„Nie jest człowiekiem” — Andrea drgnęła.

— Zimno ci? — zapytała Melly. Andrea zdobyła się na blady uśmiech.

— Poczulałam chłód — wyjaśniła. — Chyba za długo byłam dzisiaj na słońcu.

„Albo za długo przebywałam w towarzystwie Paula Hellki” — dodała w myślach.

Kiedy ostatnie promienie słońca utonęły w Pacyfiku i powiał wieczorny wietrzyk, rzeczywiście zrobiło się chłodno. Andrea chciała iść do domu, ale inni nawet o tym nie myśleli. Rozdano butelki z piwem i wodą sodową. Potem towarzystwo zaczęło się dzielić na pary. Ponieważ na samym początku Andrea wyraźnie dała do zrozumienia, że nie interesuje ją to, zostawiono ją samą. Siedziała zmarznięta na ręczniku Melly, gdy podszedł do niej Paul. Miał na sobie szorty zrobione z dżinsów i koszulkę bez rękawów. Pod względem stroju wyglądał tak jak inni, ale Andrea wiedziała, że nie był po prostu jednym z wielu.

Przyniósł swój koc, butelkę i dwa plastikowe kubki. Nie pytał, czy może się do niej przyłączyć. Ustawił przy niej kubki i butelkę, zarzucił koc na plecy i usiadł, obejmując ją ramieniem, a jednocześnie otulił częścią koca. Rozlał złociste wino do kubków.

— Jedno z twoich ulubionych — powiedział, wskazując butelkę. — Prawda?

Wmawiając sobie, że nie uciekła tylko dlatego, że jest jej zimno, Andrea przyjęła kubek i przyznała:

— Tak, zdaje się, że o nim wczoraj wspomniałam. Chociaż nie chciała pamiętać o tym, co było wczoraj, musiała się przyznać sama przed sobą, do przyjemności, którą sprawiło jej, że myślał o niej.

— Unikałaś mnie przez cały dzień — powiedział, zanim uniósł kieliszek do ust i spróbował wina. — Pyszne, masz doskonały gust — skomentował.

Andrei zrobiło się nagle ciepło, i to nie tylko dlatego, że owinięta była kocem.

— Dziękuję — odpowiedziała. ~ Cieszę się, że ci smakuje. Tak, unikałam cię — przyznała szczerze, co zdziwiło ją bardziej niż Paula. — Ty... ty sprawiasz, że robię się nerwowa, Paul.

— Ale również cię ogrzewam, prawda? — wymruczał, przytulając ją mocniej do siebie.

„Na wiele sposobów” — zgodziła się Andrea, ale tylko w myślach.

— Ja... chciałam wrócić do domu — powiedziała wymijająco. — Ale wszyscy postanowili jeszcze zostać.

Paul omiótł wzrokiem pozostałe pary pozawijane w koce, szepczące niewyraźne, ale zrozumiałe słowa.

Uśmiechnął się, kiedy znów spojrzął na Andreę. W jego oczach odbijały się nikłe płomyki gasnącego ogniska.

— Najwyraźniej — powiedział, śmiejąc się cicho. „Ile on ma lat? — zastanowiła się nagle Andrea. Celia wspomniała o jego wspaniałych referencjach, co sugerowałoby, że jest dojrzałym człowiekiem. A jednak, grając z młodszymi od siebie w piłkę, był równie sprawny i wytrzymały jak oni. Pod koniec gry nawet bardziej. Dziwne. Tamtego wieczoru wydawał się być rówieśnikiem Blaine'a w doświadczeniu i w latach. Z kolei dzisiaj wydaje się tak młody, jak Mac. Właściwie to wydaje się nie być w żadnym wieku” — podsumowała swoje rozmyślenia.

Ocknęła się na dźwięk niskiego głosu Paula:

— Jesteś bardzo cicha.

— Myślę.

Jego ramię zacisnęło się wokół jej ramion.

— Czy zechcesz zdradzić mi swoje myśli?

Andrea patrzyła na niego. Zastanawiała się, dlaczego odniosła wrażenie, że on z góry znał odpowiedź na swoje pytanie. Zirytowana własnymi myślami, powiedziała:

— Zastanawiałam się nad twoim wiekiem.

— Co konkretnie chciałybyś o nim wiedzieć? Andrea rzuciła mu nadąsane spojrzenie, ale w duszy doceniła dowcip.

— Ile masz lat? — odpowiedziała pytaniem. Śmiech Paula drażnił każdy jej nerw.

— Czy to takie ważne?

Andrea zmuszona była zaczekać z odpowiedzią, aż opanuje swoje nerwy.

— Myślałam, że tylko kobiety nie chcą przyznawać się do swoich lat — powiedziała wymijająco.

Paul nappełnił jej kubek i odpowiedział na to wyzwanie.

— Ależ ja tylko zapytałem, czy to ważne. Zmęczona droczeniem się z nim, patrząc mu prosto w oczy, Andrea powiedziała:

— Tak.

— Mam trzydzieści siedem lat — odpowiedział wreszcie Paul. — Ale jestem starcem pod względem życiowego doświadczenia.

— Czyż wszyscy nie jesteśmy starzy doświadczeniem? — zapytała Andrea.

— Życie musiało cię skrzywdzić.

To powinno być pytanie, ale w jego ustach brzmiało to tak, jakby nie potrzebował pytać jakby znał już odpowiedź.

— I nie chcę o tym mówić — powiedziała Andrea, wrywając się mu i podrywając na nogi. Miała już dość jego intuicji czy przenikliwości. Cokolwiek to było, sprawiało, że czuła się bardzo dziwnie.

Paul nie starał się jej zatrzymać. Nie powiedział ani słowa. Po prostu patrzył na nią, gdy tak stała rozglądając się wokół. Wreszcie zrobiła dwa kroki i stanęła. Nie miała serca albo odwagi przeszkadzać innym. Westchnęła, potem niechętnie odwróciła się w jego stronę.

— Jestem zmęczona, Paul — powiedziała. — Odwiesz mnie do domu?

Zupełnie jakby „zmęczona” było magicznym słowem, Paul wstał i zarzucając koc na ramię, powiedział:

— Oczywiście.

Andrea zdecydowała, że nie będzie robiła pożegnalnej rundy po parach, zawiniętych w koce. Stwierdziła, że prawdopodobnie i tak by jej nie usłyszeli. Za to Paul odszukał Maca i Melly. Zamienił z nimi parę cichych słów i wrócił do Andrei, która zabrała swoją torbę plażową i poszła za nim na parking. Zdziwiła się, widząc, że prowadzi ją do samochodu Maca.

— Przyjechałem z nim — wyjaśnił.

— Powiedziałaś Melly, że zabierasz mnie do domu?

— Tak.

Paul pomógł jej wdrapać się na wysokie siedzenie i owinął ją kocem.

Głośno pracujący silnik jeepa utrudniał konwersację, z czego Andrea bardzo się ucieszyła. Nie była bowiem w nastroju do rozmowy.

Wyskoczyła z samochodu w tej samej chwili, w której Paul zatrzymał go przed jej drzwiami.

— Dziękuję za podwiezienie — powiedziała. Była zła na siebie za swój skromny, dziewczęcy ton.

— Nie ma za co — odparł Paul, powstrzymując się od śmiechu.

— Śmiejesz się ze mnie — oskarżyła go Andrea.

— Tak.

Paul wysiadł z jeepa i podszedł do niej. Uniósł rękę i pogłaskał delikatnie jej policzek.

— Nie mogę się oprzeć — wyszeptał i schylił głowę, aby złożyć na jej ustach delikatny pocałunek.

Dopiero, gdy odprowadził ją pod same drzwi i wyszeptał: — „Dobranoc” — Andrea zastanowiła się, czy nie mógł się oprzeć chęci śmiania się z niej, czy pocałowania jej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nadszedł pierwszy dzień roku akademickiego. Minęło pięć długich dni, odkąd Andrea ostatnio widziała Paula. W tym czasie nieustannie o nim myślała.

Z pozoru wszystko toczyło się noralnie. Andrea wróciła do pracy w butik. Wybrała się któregoś dnia z Celią i Blaine'em do Monterey. Spędziła całe popołudnie z Melly, kupując ubrania na jesień, a potem obie spotkały się z dwiema innymi przyjaciółkami z „paczki” i razem z nimi poszły do kina. Zmieniła fryzurę. Słowem — zajmowała się zwykłymi codziennymi sprawami i przyjemnościami.

Jednak, tak naprawdę, Andrea pogrążona była w rozterkach. Tak jak przypuszczała, jej kochanek ze snów już nie wrócił.

Nocami spała spokojnie, ale w ciągu dnia nigdy nie zostawała zupełnie sama. Nawet wtedy kiedy znajdowała się w towarzystwie ciotki, Blaine'a, przyjaciół, klientów czy współpracowników z butik, Paul zawsze był obecny na skraju jej świadomości. Jego obecność zaznaczało wspomnienie łagodnego uśmiechu i współczującego spojrzenia.

Natomiast kiedy nikt jej nie towarzyszył, Paul wręcz nie dawał jej spokoju. Słyszała wtedy każde jego słowo, widziała każdy moment z nim spędzony.

W rezultacie, od czasu imprezy na plaży, Andrea nie zaznała ani chwili prawdziwej samotności.

W sposób przekraczający jej zdolność pojmowania, Paul zajął w umyśle Andrei miejsce opuszczone przez wyśnionego kochanka. Nie mogła się uwolnić od myśli, że Paul i jej Miłość, to jeden i ten sam człowiek, ale nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia dla takiej możliwości. W grę wchodziła jedynie telepatia. To wydawało jej się najbardziej racjonalnym wyjaśnieniem. Istnieją przecież udokumentowane przypadki komunikacji telepatycznej. W dodatku Celia i wszyscy inni, którzy znali Paula, mówili jej, że jest on człowiekiem wybitnie inteligentnym.

Takie wyjaśnienie mogłoby załatwić sprawę, ale Andrea była zbyt bystra, żeby tak po prostu się nim zadowolić. Nie słyszała przecież o wiarygodnych przypadkach telepatii wystarczająco silnej, aby manipulować nieświadomym, śpiącym intelektem.

Będąc przekonaną, że takie odkrycie naukowe spotkałoby się z rozgłosem na skalę światową, Andrea odrzuciła tę możliwość jako przekraczającą zdolności ludzkiego umysłu.

Ale właśnie wtedy przypomniała sobie słowa Melly:

„Może on nie jest człowiekiem?”

Jedynym wyjściem, jakie jej pozostało — poza podaniem w wątpliwość własnego zdrowia psychicznego — było uznanie całego problemu za wynik podświadomego pragnienia, aby Paul i jej wymaginowany kochanek okazali się tą samą osobą.

Andrea poważnie zastanawiała się, nad powrotem do bezpiecznego, choć nieciekawego życia, jakie dobrze знаła. Do życia, w którym nie pozwalała sobie na bliższe znajomości z mężczyznami — życia równie pustego jak jej ciało.

„Czy Miłość wróciłaby do moich snów, gdybym odsunęła się od Paula? Czy też odrzuciłabym życiową szansę, rezygnując z poznania go bliżej?” — rozmyślała Andrea. Przez całe pięć dni zastanawiała się nad wyborem. Ostatecznie zdecydowała skończyć z ukrywaniem się przed mężczyznami w ogóle, a przed Paulem Hellką w szczególności.

Paul intrygował ją. Zależało jej na nim. Nie była pewna, co naprawdę czuje do niego, ale zamierzała się tego dowiedzieć.

* * *

Na pierwszych zajęciach dr Paul Hellka zjawił się w materialnej zbroi, w postaci jednego ze swych nowych, jesiennych strojów i w zbroi duchowej, którą okazał się sceptycyzm.

Grono studenckie w college'u Parkera było nieliczne i wyselekcjonowane. Andreę, przyzwyczajoną do przepelnionych sal wykładowych, miło zaskoczyła kameralna atmosfera panująca na tej uczelni.

Chociaż zajęcia z Paulem były ostatnimi tego dnia, w powietrzu czuło się podniecenie pierwszego dnia studiów. Studenci, widzący się po raz pierwszy od kilku miesięcy, wymieniali pozdrowienia. Rozbrzmiewał gwar ożywionych rozmów i śmiechu.

Andrea, jako nowa w grupie, patrzyła jakby z dystansu na to, co działo się wokół niej.

Nagle niski, spokojny głos uciął hałas i w sali zapanowała kompletna cisza.

— Możemy zaczynać?

Andrea nie zauważyła, kiedy Paul wszedł do sali. Jak wszyscy obecni studenci, wyprostowała się na krześle i skupiła całą uwagę na nim.

Paul stał swobodnie przy ogromnym biurku z przodu sali. Ubrany był w starannie wyprasowane, luźne spodnie i koszulę z krótkimi rękawami, rozpiętą pod szyją. Jego zmierzwione, czarne włosy wyglądały tak, jakby właśnie wygrały walkę ze stanowczym szczotkowaniem.

Widok Paula po pięciu dniach unikania go stał się dla Andrei tym, czym jest widok wystawnego bankietu dla wygłodzonego człowieka. Każda cząstka jej umysłu, ciała i duszy tęskniła za nim. Toteż teraz chłoneła wszystko: każdy gest, każdą najdrobniejszą nawet zmianę intonacji jego głosu.

— Witam na ziemi — powiedział na początek. —

Jestem Paul Hellka i będę waszym przewodnikiem po dziwach ziemi i natury.

Andrea patrzyła oczarowana. W ciągu czterech lat swoich dotychczasowych studiów brała udział w wielu zajęciach prowadzonych przez różnych wykładowców, ale nigdy nie słyszała równie intrygującego wstępu do przedmiotu. Już w połowie zajęć Andrea doszła do wniosku, że Paul jest nie tylko błyskotliwym naukowcem, ale także geniuszem jako nauczyciel.

Stawiał problem w taki sposób, by sprowokować otwartą dyskusję. Potem umiał nią tak pokierować, aby powstał jasny pogląd na daną sprawę.

Andrea na równi z innymi brała udział we wszystkich dyskusjach. Czasami zmuszała Paula do dodatkowych wyjaśnień, nie całkiem zgadzając się z jakimś jego komentarzem. W takich przypadkach Paul skupiał swe spojrzenie na niej i przesyłał jej nieme wyrazy cieplej aprobaty.

Trwała właśnie jedna z takich debat, dotycząca atmosfery i podróży kosmicznych, gdy zajęcia dobiegły końca. Jej koledzy i koleżanki siedzieli cicho, pozwalając Andrei skończyć myśl. Paul uśmiechnął się do wszystkich.

— Dziękuję za udział, panie i panowie — powiedział. Natychmiast zapanował ogólny szelest i szuranie zbierających się do wyjścia.

Zawiedziona Andrea zamknęła zeszyt i pozbierała swoje rzeczy. Jego miękki głos unieruchomił ją, gdy już miała wstać.

— Panno Trask, jeśli pani może zostać, chętnie wyjaśnię, na czym polega błąd w pani rozumowaniu.

Andrea zawahała się przez moment, ale zaraz przypomniała sobie o swoim postanowieniu, żeby poznać go lepiej i pozostała na krześle.

Reszta studentów opuściła salę tak szybko, jak gdyby uciekali przed pożarem. Kiedy zostali sami, Andrea spojrzała w jego oczy i zupełnie zapomniała, w czym się z nim nie zgadzała. Podszedł do niej i powiedział:

— Jest zbyt ładnie na zewnątrz, żeby tu siedzieć, przejdiesz się ze mną?

Andrea bez słowa wstała, pozbierała książki i wyszła z sali. Słońce grzało mocno, powietrze było przyjemne. Szła z nim milcząc. Nie pytała go, dokąd ją prowadzi, ponieważ nie obchodziło jej to. Po prostu dobrze się czuła, idąc obok niego.

Paul nie czynił jej wyrzutów z powodu upartego unikania go i braku reakcji na jego telefony w ciągu ostatnich pięciu dni. Nie nawiązywał również do zagadnień związanych z tematem zajęć. W ogóle nic nie mówił, dopóki nie wyszli poza teren uczelni.

Kiedy weszli w kępkę sosen, tuż za budynkiem college'u, Paul zatrzymał się nagle i spojrzał na nią. Na jego twarzy tańczyły plamy słońca i cienia.

— Tęskniłem za tobą — powiedział tym swoim miękkim głosem.

Przez chwilę chciała pominąć jego słowa milczeniem, ale zaraz przywołała się do porządku.

— Ja też za tobą tęskniłam — odpowiedziała tym samym tonem, co on.

— A jednak nie odbierałaś moich telefonów. — W jego głosie nie było ani cienia wyrzutu, raczej cierpliwość i współczucie.

Andrea spuściła oczy.

— Bałam się — przyznała.

— Mnie?

Przygryzła dolną wargę. „Czy jestem w stanie uporać się z tym? Czy potrafię wypowiedzieć słowa, które zdemaskowałyby kobietę kryjącą się za ochronną maską?” — pytała siebie Andrea.

— Nie, bałam się siebie.

— Och, Andreo.

Paul zrobił krok w jej stronę, ale rozmyślił się.

— Chcę cię dotykać — powiedział, pieszcząc ją oczyma. — Chcę cię całować. — Nabrał gwałtownie powietrza, jakby zbierał siły. Potem uśmiechnął się. — Ale nie mogę... Jeszcze nie.

Andrea poczuła, jak wewnątrz jej ciała rozchodzi się ciepło i nie pochodziło ono od słońca. Zaraz potem przeszył ją dreszcz zimna.

— Dlaczego... — Przerwała, aby zwilżyć wyschnięte usta.

Jego niebieskie oczy podążyły za ruchem jej języka. To intensywne spojrzenie utrudniało Andrei panowanie nad sobą. Musiała się skoncentrować i przypomnieć sobie, o co zaczęła pytać. — Dlaczego nie?

— Bo nie jesteś jeszcze gotowa — powiedział. — Prawda?

„Jestem!” — chciała krzyknąć.

— Prawda — odpowiedziała, wiedząc, że tylko to mogła powiedzieć.

— Tak myślałem. Boisz się zaufać mi.

Uśmiech Paula wyrażał akceptację i tolerancyjne rozbawienie.

Chociaż nie było to pytanie, Andrea odpowiedziała:

— Nie znam cię, Paul.

— Ależ tak, znasz mnie — wyszeptał. — Znasz mnie w głębi duszy, intuicyjnie. Ale ty nie ufasz również swojej intuicji. Prawda?

— Tak — odpowiedziała beznamiętnym tonem, przypominając sobie, jak cierpiała, gdy raz już zaufała swojej intuicji. — Pewne doświadczenia nauczyły mnie, że uczucia mogą zawieść. Od tego czasu polegam na swoim rozsądku.

— A twój umysł jest niezawodny? — zapytał łagodnie Paul.

Andrea czuła, że się zaplątała. Ze wszystkich ludzi właśnie jemu nie mogła się przyznać, że jeszcze przed kilkoma dniami ufała bezgranicznie swojemu umysłowi.

Nie mogła mu też powiedzieć, że to z jego powodu nie była już niczego do końca pewna.

— Możliwe, że okaże się zawodny — powiedziała. — Niemniej jednak, dopóki cię lepiej nie poznam...

— Skoro nie odbierasz nawet moich telefonów, to w jaki sposób chcesz mnie lepiej poznać? — zauważył Paul, w którego oczach pojawiło się żartobliwe wyzwanie.

— Przecież tu jestem — odpowiedziała.

— Tak, jesteś tutaj. — Paul uśmiechnął się i dodał: — To już jest jakiś początek. Zobaczymy, dokąd to nas zaprowadzi.

Zawrócił w miejscu i zaczął iść z powrotem ścieżką, którą przyszli.

Andrea wahala się przez moment, potem ruszyła za nim. „Jestem teraz zaangażowana, ale może nie powinnam być zaangażowana” — zastanawiała się, przyspieszając, aby dotrzymać mu kroku.

Kiedy znowu znaleźli się na terenie uczelni i mogli już iść obok siebie, Paul spojrzął na nią i uśmiechnął się.

— A kiedy zacznie się to badanie mojej psychiki?

— Sam powiedziałaś, że już się zaczęło — odpowiedziała Andrea.

Paul roześmiał się.

Andrea poczuła, że topnieje.

— Więc, kiedy będzie kontynuowane? Andrea wzruszyła ramionami.

— Hm, nie wiem. Kiedy ty...?

— Obiad? - wtrącił Paul.

— Dziś wieczór?

— Tak, dziś wieczór, dobrze? — Paul uniósł brwi. Andrea zawahała się, ale tylko po to, żeby nie pokazać po sobie, z jaką chęcią się zgadza.

— Dobrze — odpowiedziała.

— Siódma? Szósta trzydzieści? Szósta...?

— Najlepiej o szóstej trzydzieści.

Oczy Paula nabrały dodatkowego blasku.

— Zamierzam ci udowodnić, że i ja będę dla ciebie najlepszy.

Ta cicho wyrażona nadzieja utkwiała w głowie Andrei.

Myślała o tych słowach, wracając do domu. Wciąż była zdezorientowana niesamowitym podobieństwem między Paulem, a jej kochankiem ze snów. Wciąż też uważała, że w Paulu jest coś dziwnego, ale teraz czuła się zdolna rozwiązać otaczającą go tajemnicę. Wiedziała, że nie ma innego wyboru. Pomyślała też, że zakochuje się w Paulu Hellce.

Celia bardzo się ucieszyła, usłyszawszy, gdzie wybiera się Andrea.

— Najwyższy czas, żebyś wyszła z tej skorupy, którą wokół siebie zbudowałaś — powiedziała troskliwym, rodzicielskim tonem. — Chyba nie chcesz być starą panną, jak ja? — dodała z uśmiechem.

— Ależ ciociu, idę na obiad, nie zamierzam uciekać z domu i wychodzić za męż! — sprostowała Andrea śmiejąc się. — A jeśli Blaine ma głowę na karku, w co wierzę, to nie będziesz już dłużej starą panną.

Celia zarumieniła się, co samo przez się mówiło ó jej uczuciach — Celia nigdy przedtem się nie rumieniła.

— Czyżbyś coś przede mną ukrywała? — zapytała podejrzliwie Andrea.

Po chwili wahania Celia powiedziała:

— Prawdę mówiąc, Blaine poprosił mnie, żebym za niego wyszła.

— Mam nadzieję, że powiedziałaś „tak” — powiedziała Andrea i uścisnęła ciotkę.

— Hm... niezupełnie — odpowiedziała Celia.

— Niezupełnie?! — wykrzyknęła Andrea. — Ciociu, przecież ty za nim szalejesz! Nie rozumiem, dlaczego się wahasz.

Nagle oczy Andrei zwięzły się pod wpływem nowej myśli.

— Twoje niezdecydowanie nie ma chyba nic wspólnego ze mną? — zapytała.

— Andreo, Blaine nie tylko poprosił, żebym za niego wyszła. On chce wziąć roczny urlop. Dawno nie miał prawdziwych wakacji, a chce zobaczyć trochę świata, zanim się zestarzeje.

— To ma sens — powiedziała Andrea. — Więc...?

— Ten urlop ma się zacząć od pierwszego października. On chce, żebyśmy się pobrali i razem wyruszyli w podróż. — Celia przerwała na chwilę, potem dodała: — Nie chcę cię tu zostawiać zupełnie samej.

— Ale ja mam dwadzieścia osiem lat i doskonale potrafię się sobą zająć! — zaprotestowała Andrea.

— Wiem — odparła Celia. — Ale ty tak długo toczyłaś samotną, nierówną walkę. Po prostu chciałam być przy tobie.

— Och, ciociu! — Andrea mrugała szybko, aby pozbyć się palących łez. — Kocham cię i doceniam twoją troskliwość, ale, widzisz, przez wszystkie te trudne lata zawsze wiedziałam, że jesteś ze mną, mimo że dzieliły nas trzy tysiące mil.

Celia próbowała coś powiedzieć, ale Andrea potrząsnęła głową.

— Nie pozwól Blaine'owi wyjechać bez ciebie. Wyjdź za niego! Bądź z nim nieprzytomnie szczęśliwa. Nie masz się czym martwić, bo odległość nigdy nas tak naprawdę nie rozdzieli.

Płakały, nawzajem się obejmując, a potem zaczęły się śmiać z samych siebie.

— Oczywiście, masz rację — powiedziała Celia, wręczając Andrei chusteczkę. — Powiem Blaine'owi, że się zgadzam... może jeszcze wieczorem przy obiedzie.

— Obiad! — wykrzyknęła Andrea, spoglądając na zegarek. — Muszę wziąć prysznic i ubrać się!

— Załóż coś wspaniałego i zbij go z nóg! — zawołała za nią Celia.

Tym czymś wspaniałym, wybranym przez Andreę po wielokrotnym zmienianiu zdania, była ujmująco prosta, turkusowa jedwabna sukienka, która przylegała dokładnie do jej smukłego ciała i migotała fosforyzująco przy każdym ruchu Andrei. Suknię uzupełniały szpilki i delikatny jak mgiełka szal.

Palce Andrei drżały, gdy nakładała na powieki srebrny cień i uzupełniała makijaż odrobiną błyszczyka, różu i tuszu. Spryskała się jaśminowymi perfumami i uznała, że jest gotowa.

Przeglądając się w lustrze, doszła do wniosku, że wygląda chłodno, opanowanie, a przy tym całkiem ładnie. Za to wewnątrz, cała się aż trzęsła z emocji i niepewności.

Wyraz twarzy Paula, gdy dokładnie o szóstej trzydzieści weszła do salonu, w pełni wynagrodził jej wysiłki. Chociaż może nie dosłownie zbiło go z nóg, to na pewno był lekko oszołomiony.

Andrea zauważyła to, ale i jego widok wywarł na niej podobne wrażenie. Wysoki i szczupły, ubrany w granatowy garnitur i bladoniebieską koszulę, Paul stanowił ucieleśnienie męskiej elegancji.

— Niewypowiedzianie piękna — westchnął Paul, gdy do niego podeszła. — Jak zwykle.

Oczarowana Andrea wyszeptała:

— Ty też jesteś piękny.

Jego cichy śmiech pokrył się ze śmiechem dwóch pozostałych osób, znajdujących się w pokoju. Zaskoczona Andrea rozejrzała się wokół. Zupełnie zapomniała, że Celia i Blaine byli w domu.

— Ja... umm, nie zauważyłam was — przyznała, czując, że się rumieni ze wstydu.

— Najwyraźniej — powiedziała Celia. — Ale to jest zrozumiałe. Paul rzeczywiście wygląda olśniewająco, prawda?

Blaine roześmiał się.

— Według mnie oni oboje tak wyglądają.

— Myślę, że w ten sposób chcą nam powiedzieć, że dobrze się prezentujemy — powiedział Paul, wyciągając rękę do Andrei. — Czy pójdziemy już olśnić świat?

Śmiejąc się razem z nim, Andrea podała mu rękę i oboje, pożegnawszy się z Celią i Blaine'em, wyszli na zewnątrz.

Przed domem stał samochód Paula. Andrea zobaczyła go po raz pierwszy. Zdziwiła się na widok tego lśniącego, srebrnego, niskiego i, jak podejrzewała, wykonanego na zamówienie pojazdu. Nigdy nie widziała czegoś podobnego.

— On jest wspaniały! ~ zawołała, giły 'u siedli na pokrytych zamszem siedzeniach. — Co to jest i gdzie to znalazłeś?

— Nie ma nazwy — odparł Paul zapalając silnik. — I nie znalazłem go, tylko zbudowałem.

— Niewiarygodne — wyszeptała zdumiona Andrea. Śmiech Paula zlał się z warkotem silnika.

— Zapnij pasy — poradził. — Prowadzę szybko. Andrea przekonała się, że „szybko” to zbyt łagodne słowo, na określenie prędkości, którą Paul rozwinął w drodze do restauracji. Mimo to Andrea ani przez chwilę się nie bała.

Restauracja znajdowała się na uboczu. Oświetlenie było dyskretne, a kuchnia wyśmienita, lecz Andrea prawie nie zauważyła tych zalet. Jej uwagę przykuł mężczyzna siedzący naprzeciw niej przy stoliku.

Mówili niewiele, jedli jeszcze mniej, sącząc wyborne, białe wino.

Paul pieścił ją swoim spojrzeniem.

Kiedy wyszli z restauracji, Andrea nie mogła sobie przypomnieć, co jadła, pamiętała tylko jakąś zimną zupę kremową. Wino wciąż szumiało jej w głowie.

Następnie Paul zawiózł ją do małej, zadymionej tawerny, gdzie obsługa była szybka, a muzyka wolna. Tam Andrea straciła głowę i serce, tańcząc z Paulem. Jego dłonie głaskały ją po plecach. Jego usta muskały jej skronie, a prężne ciało, przyciśnięte do niej, rozpałało jej ciało. Pragnęła go i to pragnienie przerażało ją.

Paul wyczuł jej oddalenie w tej samej chwili, w której ona zdecydowała się ostudzić swoje emocje. Odchylił głowę i spojrzał w jej oczy. Smutny uśmiech pojawił się na jego pięknych ustach.

— Chcesz teraz uciec od mnie? — wyszeptał, przesuwając się ku skrajowi parkietu.

Andrea zakryła oczy rzesmami, chcąc ukryć przed nim wewnętrzny konflikt emocji.

— Tak, ja... chciałabym już wrócić do domu... jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Nie miałbym zupełnie nic przeciwko, a prawdę mówiąc byłbym szczęśliwy, gdybyś chciała iść do swojego prawdziwego domu.

Andrea podniosła wzrok na niego, zmieszana jego enigmatyczną odpowiedzią.

— Paul, ja nie rozumiem, co ty...

— To nieważne — przerwał jej. — Niedługo zrozumiesz.

Nie wypowiedziawszy więcej ani słowa, zaprowadził ją do samochodu. Dopiero kiedy byli już w drodze, odezwał się znowu:

— Tam, w tawernie, przestraszyłaś się swoich uczuć, prawda?

Andrea czuła się niezręcznie.

— Paul, ja wciąż nie wiem — wyszeptała. — Jeden wspólnie spędzony wieczór nie wystarczy, aby zagwarantować...

„Spędzenie z sobą nocy” — pomyślała, ale zamilkła, nie będąc w stanie powiedzieć tego na głos.

— Wiem. Wszystko w porządku. Rozumiem.

Jego ciche westchnienie wypełniło ciszę panującą w samochodzie.

Reszta drogi upłynęła w milczeniu. Kiedy odprowadził ją do drzwi i chciał objąć, Andrea powstrzymała go, kładąc mu rękę na piersi.

— Potrzebuję więcej czasu, Paul — w jej głosie pobrzmiwała nutka prośby — żeby cię poznać.

Paul opuścił ręce i odstąpił od niej.

— Dobrze, Andreo. Mogę zaczekać... jeszcze trochę.

Przesunął palcami po jej ustach.

— Jutro po południu, po zajęciach? — zapytał.

— Tak — wyszeptała Andrea. — Jutro po południu. To co się wydarzyło następnego dnia, powtarzało się przez kilka kolejnych tygodni. Kiedy pogoda na to pozwalała, spacerowali razem, czasami dyskutując nad jakimś zagadnieniem, które pojawiło się na zajęciach, czasami po prostu rozmawiając. Natomiast gdy im nie sprzyjała, siedzieli przy kawie w jakiejś kawiarni albo zwiedzali muzea: morskie i historii naturalnej i oczywiście, opowiadali sobie o różnych sprawach. Dzięki temu Andrea dowiedziała się wielu rzeczy o zawodowym życiu Paula, a jej podziw i szacunek do niego rosły z każdym dniem. Ale niewiele zdołała dowiedzieć się o nim samym.

Wszystko się zmieniło pewnego pięknego, ciepłego dnia pod koniec września. Jak zwykle Andrea czekała na Paula przed salą wykładową. Paul podszedł do niej i wziął ją za rękę.

— Dzisiaj były świetne zajęcia — pochwaliła Andrea.

Paul obdarzył ją swoim zniewalającym uśmiechem, który zaczynał się na ustach, a kończył na jego fantastycznych oczach.

— Dziękuję. Masz w tym swój udział. Ich palce splotły się i ruszyli przed siebie.

— Dokąd idziemy? — zapytała Andrea. — Na plażę, żeby poszukać w kałużach pozostałych po przyptywie jakichś oślizgłych rzeczy? — zaproponowała przekornie.

— Dobry pomysł. Jeszcze tego nie robiliśmy. Ale nie, nie dzisiaj. Chcę ci pokazać pewne miejsce.

Zaintrygowana Andrea podążyła za nim. Ale kiedy skierował się w stronę grupki sosen, w którą weszli już pierwszego dnia swoich spacerów, Andrea powiedziała:

— Ale tutaj już byliśmy, Paul, nie pamiętasz?

— Pamiętam wszystko, co ma związek z tobą, Andreo — odpowiedział poważnie. Nada! trzymając jej rękę, wysunął się naprzód, aby poprowadzić ją przez gęsty zagajnik.

— Tamtego dnia też chciałem pokazać ci to miejsce, ale nie byłaś jeszcze gotowa, żeby je zobaczyć.

Przystanął, aby na nią spojrzeć.

— Myślę, a właściwie mam nadzieję, że teraz czujesz się przy mnie wystarczająco swobodnie, aby iść tam ze mną.

Wstrzymawszy oddech, wpatrywał się w nią, czekając na jej odpowiedź.

Całe napięcie, które znacznie zelżało w ciągu tygodni spędzonych na rozmowach i śmiechu, nagle znowu ogarnęło Andree. Dotąd Paul ani razu jej nie przynaglał, a teraz wywierał na nią pewien nacisk, chociaż robił to bardzo delikatnie. Wahala się.

Przełknęła nerwowo ślinę, zwilżyła językiem usta. Zauważył to, jego oczy pociemniały.

Zastanawiała się, czy naprawdę jest gotowa, a on czekał cierpliwie na odpowiedź.

Chwile przeciągały się w minuty. Wreszcie, zdobywając się na uśmiech, poddała się.

— Dobrze, Paul. Zabierz mnie w to miejsce.

— Ach... Andreo. — Niski głos Paula zawierał bogactwo różnych uczuć, z których najsilniejszym była ulga.

Splótłszy jej palce -ze swoimi, ścisnął lekko jej rękę i wyszeptał:

— Chodź.

Jego szept był jednocześnie prośbą i rozkazem. Już kiedyś słyszała, jak wypowiadał to słowo, dokładnie tym samym tonem, ale... kiedy? Nie miała czasu na szukanie w pamięci odpowiedzi. Paul prowadził ją pewnie przez sosnowy zagajnik.

Wymieszane zapachy niewidocznego morza i sosen uderzyły Andree, kiedy wyszli z gęstwiny. Wtedy ujrzała ścieżkę.

Doznała dziwnego uczucia, że zna to miejsce. Wiedziała jednak, że nigdy przedtem tu nie była. Jej zaniepokojenie rosło z każdym krokiem. Ścisnęła mocno rękę Paula. Szli ścieżką tak szeroką, że mogli bez problemu iść obok siebie.

Drzewa zaczęły się przersedzać. Wreszcie wyszli na nierówny teren, tylko tu i ówdzie naznaczona drzewami. Andrea zaczęła coraz szybciej oddychać, jej dłonie zwilgotniały. .

— Paul? — powiedziała chrapliwym szeptem, kiedy weszli na trawiastą polankę, ocienioną przez stare drzewo o pokrytym głębokimi bruzdami pniu.

Jego dłoń zacisnęła się mocniej.

— Jestem tu, moja kochana — wyszeptał. — Nie masz się czego bać.

Jego słodki, znajomy głos, jego słowa w tym miejscu — to było ponad jej siły.

Zanim Andrea straciła przytomność, zdążyła jeszcze pomyśleć, że oto weszła na jawie do własnego snu.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy Andrea odzyskała przytomność, leżała na poduszce z miękkiej trawy, delikatnie otulona mocnym uściskiem Paula. Jej głowa spoczywała na jego piersi, a on delikatnie gładził palcami jej skroń.

— Kim jesteś? — W jej głosie zabrzmiała panika. Przekręciwszy się w jego ramionach, spojrzała mu w oczy ze zdumieniem. — Kim jesteś? — powtórzyła pytanie z większą mocą.

Jego oczy rozżarzyły się od wnętrza z litości i... czegoś więcej.

— Jestem dokładnie tym, kim jestem — Paulem Hellką.

— Staję się nienormalna! — wykrzyknęła Andrea, walcząc o uwolnienie się z jego uścisku.

— Nic podobnego. — Ramiona Paula trzymały ją mocno.

Bez szansy na uwolnienie, Andrea położyła się spokojnie i zamknęła oczy.

— Nic z tego nie rozumiem!

Rozwarła szeroko oczy, kiedy w jej umyśle zagnieździło się pewne podejrzenie — podejrzenie dotyczące Paula, jej wysnionego kochanka i tej polanki.

— Czemu mnie tu przyprowadziłeś? Skąd wiesz o tym miejscu?

— Jest położone niedaleko Parker — zauważył, wskazując niedbałym gestem dłoni w tym kierunku. — Przychodzę tu każdego dnia, odkąd przybyłem do Kalifornii. Przechodzę obok, w drodze z domu na zajęcia — wyjaśnił. — Ale dziś nie tylko tu chciałem przyjść. Pragnąłem, abyś zobaczyła mój dom.

Andrea poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana niż kiedykolwiek.

— Twój dom? — powtórzyła. — To mieszkasz gdzieś w pobliżu?

— Tak. Niedaleko stąd.

— Rozumiem — powiedziała. Lecz w gruncie rzeczy nie rozumiała nic. I nie widziała nic, prócz zniewalającego czaru jego oczu. Obawiając się, że utonie w ich ciemnoniebieskich czeluściach, spojrzała w bok[^]-aby poprzez poskręcane konary starego drzewa popatrzeć na niebo o jaśniejszym odcieniu. Pamięć przywspomniała łązy do jej oczu.

— Dlaczego nazwałeś mnie „moje serce”?

— Ponieważ nim jesteś.

Przyprawił jej ciało o drzenie, przesuwając usta od skroni aż do kącika jej pięknych ust.

— Och, Andreo! Wiesz, po tym wszystkim... Czy nie czujesz, jak bije dla ciebie moje serce... Wyłącznie dla ciebie?

— Paul... — Andrea odwróciła głowę, jego usta przykryły jej wargi.

— Moje serce — wyszeptała.

Jego dotyk był tak samo nowy, jak i znajomy. Rozbudzona przez dreszcz, a jednocześnie zagubiona jak we śnie, Andrea westchnęła i oddała mu pocałunek, raz jeszcze przeżywając jego cudowność.

Jego wargi nie stawiały żądań, lecz słodko, delikatnie odkrywały zarys ust Andrei, która czuła podniecający dreszcz oczekiwania. Znow należał do niej, był jej Miłością.

Rzeczywistość powróciła, kiedy Paul odsunął się od niej. Ciepłe łzy pociekły spod kącików powiek Andrei i wolno płynąc po skroniach, zniknęły we włosach.

Paul delikatnie scałowywał łzy.

— Czemu płaczesz, kiedy w końcu jesteśmy razem? — wymamrotał.

— Nie wiem. Nie jestem pewna. — Andrea obróciła twarz na jego piersi.

— Och, Paul — zaszlochała — nie jestem już teraz niczego pewna!

— Możesz być pewna mnie — rzeki. — Zaufaj mi.

— Nie mogę.

Poruszyła głową i usłyszała miarowe bicie jego serca.

— Chcę, ale nie mogę. Jeszcze nie. — Poczowała, jak jego klatka piersiowa rozszerza się, a potem opada przy westchnieniu.

— Moja biedna Andrea — powiedział, pieścąc jej twarz lekkimi jak puch pocałunkami. — Żałuję, że nie mogę usunąć zamieszania z twojego umysłu, lecz nie potrafię... Jeszcze nie, dopóki nie będziesz dostatecznie wolna, aby bez wahania uwierzyć samej sobie i mi.

Andrea westchnęła. Zdała sobie sprawę, że Paul w zwykły sobie, pełen współczucia sposób, ukazał sedno problemu. Bardziej bała się uwierzyć sobie, swojej intuicji, swym uczuciom do niego, niż zaufać jemu. Mur, jaki zbudowała z bólu powstałego po zdradzie, stwardniał na dobre. Odrzucenie tej ochronnej tarczy i wyeksponowanie swego wewnętrznego „ja”, wymagać będzie siły i odwagi, których posiadania nie była pewna.

W obawie, że, być może, nigdy nie będzie mogła zebrać tyle siły, Andrea spojrzała na niego ze łzami iskrzącymi się w jej orzechowych oczach.

— Och, Paul, co my teraz zrobimy? — zawołała, nieświadoma, że używając słowa „my”, ujawniła mu istnienie drobnych pęknięć, które pojawiły się w jej murze. — Czuję się jak tchórz.

— Nie ma w tobie ani tchórzliwości, ani szaleństwa — powiedział Paul tym miękkiem tonem, od którego zaczynała już być uzależniona. — I będzie między nami tak jak przedtem. Na to ciągle jest czas.

Andrea nie pojęła tej ostatniej uwagi, lecz nie było w tym nic niezwykłego: ona naprawdę nie ogarniała myślą połowy tego, co do niej powiedział. Uczepiwszy się w duchu jego zapewnienia, przywarła do jego ciała, pełnego uspokajającej siły.

— Chcę się uwolnić od strachu, Paul — powiedziała.

— Tak, chcę być od niego wolna... — Tu zawahała się, a następnie wyznała: — Chcę być z tobą.

Paul zamknął oczy, jak gdyby nabierał hartu ducha. Jego ramiona zacisnęły się prawie bezwiednie wokół jej smukłych kształtów.

— Będziemy razem. Tak, jak już byliśmy — wymamrotała. — Ale od tego momentu będziemy razem tutaj, w naszym specjalnym miejscu, w którym swobodnie możemy wyrażać nasze myśli i uczucia,

Jego pocałunek był tak samo miękki i zniewalający jak głos.

Oszołomiona Andrea westchnęła.

— Zawsze kochałam to miejsce — powiedziała nieświadoma tego, co przez to ujawnia.

— I ja również — odrzekł. — Jest doskonale dla naszych spotkań.

I tak, w przeciągu następnych dni, Andrea znalazła się w świecie ze swych marzeń.

W niektóre dni spotykali się po zajęciach i szli razem na polankę. W inne, kiedy Paula zatrzymywały jakieś spotkania, Andrea chodziła na polankę sama i czekała na niego. Ale też często ona przychodziła dużo później, ponieważ pomagała Celi w przygotowaniach do ślubu. A wtedy on, tak jak w sennych marzeniach, czekał na ścieżce.

Powoli, w miarę upływu dni, Andrea zaczęła pozbywać się swoich zahamowań i uwalniać od obaw, które jak łańcuch przykuwały ją do wspomnień o bólu i zdradzie.

Paul był cierpliwy, zawsze gotów pozostawić jej inicjatywę, zarówno co do rozmowy, jak i pieszczot.

— Och, Paul, poczekaj, aż ujrzysz suknię cioci Celi! — wykrzyknęła Andrea pewnego spowitego w deszcz, wczesnego wieczora. Był środek października, dni stawały się coraz krótsze, a tym samym zbliżał się coraz bardziej dzień ślubu ciotki Celi.

— Wyglądała w niej pięknie, młodo i... tak szczęśliwie — kontynuowała.

Oczy Paula obiegły jej rozpromienioną twarz i czuły uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Celia jest zakochana — rzekł po prostu, następnie roześmiał się. — Ale czy zauważyłaś, jak zmienił się Blaine, odkąd twoja ciotka wyraziła zgodę na małżeństwo?

Kiedy skinęła głową w odpowiedzi, on ciągnął dalej:

— Jest on teraz kimś zupełnie innym... Zdaje się, że pustka wewnątrz Blaine'a została wypełniona miłością, jaką dzieli z Celią.

— Sądziś, że to głupie? — zapytała, przypominając sobie podsłuchane słowa jednego ze starszych profesorów, mówiącego raczej cynicznie, że Blaine jest tak zamroczony, iż robi z siebie idiotę.

Paul zmarszczył brwi.

— Głupie? Nie wiem, co masz na myśli.

Andrea pokrótce zdała mu relację z tego, co podsłuchiwała, a potem dodała:

— Wiesz, większość mężczyzn sądzi, że tylko kobiety głupieją z powodu miłości.

— Lecz większość mężczyzn nigdy nie zdaje sobie sprawy, czym jest to, czego brakuje w ich posępnym życiu — skonkludował Paul. — Nie, Andreo, nie sądzę, aby zachowanie Blaine'a było głupie. Myślę, że to cudowne, iż odnalazł w Celi kobietę, która wypełni jego życie. Jestem szczęśliwy z powodu Blaine'a i dumny, iż poprosił mnie, abym dzielił jego radość, będąc drużbą podczas ceremonii zaślubin.

Zaskoczona i oszołomiona tą odpowiedzią, Andrea gapiła się na Paula z najwyższą fascynacją, lecz jej uwadze uszło pewne podstawowe pytanie: „Jakim rodzajem mężczyzny jest on sam?”

Podczas poprzednich tygodni Andrea zaczęła pojmować, jakim człowiekiem jest Paul. Zrozumiała, jak bardzo bogatą osobowość ma jej wybranek. Był nieprzeciętnie bystry — jednakże nigdy nie zachowywał się z wyższością. A jego bystrość wykraczała daleko poza wybraną przez niego dziedzinę nauki. Posiadał zdumiewającą wiedzę z zakresu historii, techniki, sztuki i innych nauk.

W codziennych kontaktach z ludźmi, ujawniał usposobienie pełne współczucia, tolerancji zrozumienia i humoru. I, co zaznaczyła Melly już parę tygodni wcześniej, Andrea nie widziała jeszcze, gdy okazywał gniew.

A jednak, pomimo wszystkich stron jego osobowości, które zdołała rozpoznać jako właściwe jemu jednemu, doznawała dziwnego uczucia, że równie wiele oblicz Paula nie zostało jej jeszcze ujawnionych. W rezultacie

Andrea nie poznała do końca, jakim rodzajem mężczyzny jest naprawdę Paul Hellka.

Jednak, co dziwne, przestało jej to przeszkadzać. Rozwiała się gdzieś jej podejrzliwość i Andrea uznała, że to, czego o nim nie wie, czyni go jeszcze bardziej intrygującym i ekscytującym.

— Ciotka Celia powiedziała mi, że twoi rodzice są imigrantami — powiedziała Andrea pewnego ciepłego, leniwego, niedzielного popołudnia, wyrażając tymi słowami swą ciekawość dotyczącą jego rodziny.

Siedzieli sobie wygodnie pod starym drzewem, prawie dokładnie tak, jak w jej marzeniach. Paul opierał się o chropowaty pień, a Andrea usadowiona była pomiędzy jego udami, z głową spoczywającą na oddychającej poduszce piersi. Czuła, jak jego śmiech dudni mu we wnętrzu, zanim nie wybuchł w łagodne jesienne powietrze.

— Sądziłem, że nigdy nie podejmiesz tego tematu — powiedział półgłosem, leniwie głaszcząc jej dłoń jednym palcem. — W gruncie rzeczy Celia ma tylko częściowo rację.

— Częściowo? — powtórzyła Andrea, zakreślając paznokciem okręgi na jego udzie, czym bezwiednie odwzajemniała drobną pieśczoć.

— Moja matka urodziła się tutaj — wyjaśnił. — Natomiast mój ojciec — Paul przerwał na chwilę — przebywał w tym kraju nielegalnie — skończył miękko.

— Nielegalnie! — wykrzyknęła Andrea, przekręcając się, aby spojrzeć na niego ze zdziwieniem.

— Czy to znaczy, że przekroczył granicę tego kraju bez zezwolenia?

Lekko uśmiechnięte usta Paula świadczyły o wewnętrznym rozbawieniu, którego Andrea w żaden sposób nie mogła pojąć, zważywszy na powagę tematu.

— Och, z pewnością bez pozwolenia — rzekł przygnębionym tonem, kontrastującym ze śmiechem błyszczącym w jego oczach. — Przekroczył granicę na obszarze Big Bend w Teksasie — dodał.

Mając umysł zajęty myślami o tysiącach udręczonych ludzi, którzy szukali wolności przez przekroczenie Rio Grandę, Andrea nie zauważyła nieznacznego nacisku, jaki położył na słowo „granica”.

— Hm — wymamrotała. — Rozumiem, że wielu obcych wkracza do kraju w tym rejonie Teksasu.

— Tak — zgodził się wciąż rozbawionym tonem. — O wiele więcej, niż to się wydaje większości ludzi.

Andrea prawie nie słyszała tych słów, nie mówiąc już o wplecionym w nie śmiechu. Całą uwagę skupiła na odczuciach wywołanych właśnie przez powolne, zmysłowe przesuwanie się jego dłoni wzdłuż jej pleców. Mrowienie w ręce uświadomiło jej, że własną dłonią równocześnie gładzi zewnętrzną stronę jego uda.

— Paul? — wyszeptała boleśnie, kiedy jego palce delikatnie dotknęły wgłębienia u podstawy jej szyi.

— O co chodzi, moje serce? — powiedział cicho, a jego palce zawędrowały pod kołnierzyk jej jedwabnej koszulki, aby badać delikatnie wygiętą linię ramienia. — Powiedz mi, co czujesz — powiedział miękko. — Tam głęboko, wewnątrz.

Jej dłoń powoli przesunęła się w kierunku górnej części jego napiętego uda.

— Ciepło — westchnęła — i opiekę, i..

— Tak? — ponaglił ją.

— Miłość. — Oddech wydobywający się z jej rozchylnych warg zmieszał się z jego oddechem, kiedy przybliżył do niej usta.

— Składasz się z tego wszystkiego wyszeptał. — Będę trzymał cię w cieple, miłości i pod ochroną tak długo, jak oddech i życie pobudzają twoje ciało.

Poruszona do głębi tą obietnicą, Andrea uniosła dłoń ku jego twarzy i przyciągnęła jego usta ku swoim.

Tym razem pocałunek był inny. Usta Paula poruszały się po jej wargach jak wygłodniałe. Aż stwardniały od powstrzymywanej dotąd namiętności. Z nieskończoną chciwością kosztował językiem słodycz jej ust.

Ciało Andrei zalało ciepło wyostrajające zmysły. Pragnąc znaleźć się jak najbliżej niego, obróciła się w jego objęciach, tak aby się na nim położyć. Bolały ją piersi, więc szukając ulgi — poruszała się na nim zmysłowo. Jej ręka wślizgnęła się pod miękki materiał dżinsów, opinających jego wąskie biodra. Opanowało ją nieprzytomne pożądanie. Chcąc dotknąć sobą tyle jego ciała, ile to możliwe, wygięła plecy w łuk, nieświadoma niewygody tej nienaturalnej pozycji.

Paul, zauważywszy to, przesunął spokojnie dłoń wzdłuż pleców Andrei i zatrzymał na wysokości jej talii. Wówczas, pomagając sobie drugą ręką, łagodnie unióśł ją w górę. Andrea zajęczała i zaprotestowała, kiedy jej usta zostały oderwane od jego ust.

— Poczekaj, moje serce — wyszeptał. — W ten sposób zrobisz sobie krzywdę.

Zdradzając siłę, o jaką nie podejrzewałaby żadnego człowieka, uniósł ją wysoko w górę.

Oszołomiona Andrea znieruchomiała i tylko obserwowała, jak trzyma ją wysoko ponad sobą i równocześnie odsuwając się od pnia, kładzie się na ziemi pokrytej poduszką trawy. Potem, uśmiechając się na widok jej rozszerzonych ze zdziwienia oczu, powoli obniżył ją łagodnie i położył na sobie.

Myśli w głowie Andrei zaczęły galopować w próbie zrozumienia tego, co się tutaj stało. Była świadkiem wielu pokazów siły, widziała na przykład wyczyny ciężarowców, ale nigdy nie uwierzyłaby, iż człowiek zdolny jest dokonać czegoś takiego jak to, co właśnie zrobił Paul.

Miała pięć stóp i dziewięć cali wzrostu, ważyła sto trzydzieści funtów! Paul choć mierzył prawie sześć stóp i sześć cali, to był przy tym szczupły, żeby nie powiedzieć chudy, i nie miał zbyt mocno rozwiniętych mięśni. A jednak utrzymał ją w powietrzu nad sobą, zdołał przemieścić swoje ciało z pozycji siedzącej do leżącej.

Z pewnością to, czego właśnie dokonał, było fizycznie niemożliwe! Upierał się przy tym racjonalny umysł Andrei. „To musiał być jakiś rodzaj sztuczki, iluzji” — tłumaczyła sobie.

— Jak tyś to zrobił? — zapytała głosem ochryłym od podejrzliwości i strachu.

Paul roześmiał się i usadowił ją wygodniej.

— Triumf rozumu nad materią — odrzekł żartobliwie. Nie przekonana Andrea zmarszczyła brwi w konsternacji.

— Tak naprawdę to był trik, prawda? — zapytała pełna sceptycyzmu. — Magiczna iluzja?

— Rzeczywiście? — Miękki głos Paula pełen był śmiechu. — Wobec tego — kontynuował — ponieważ twój zmysłowy nastrój został najwyraźniej ochłodzony przeszkadzającymi myślami, dam ci powtórkę przedstawienia.

Andrea wolno potrząsnęła głową.

— Ja nie sędzę... Paul! — Było zbyt późno na protesty: bis już się rozpoczął.

Chwyciwszy ją znowu w talii, uniósł wysoko w powietrze, z dala od swego ciała i powoli wyginał plecy w łuk.

Potem, kiedy Andrea obawiała się już, że usłyszy, jak trzeszczy mu kręgosłup, on wystrzelił z ziemi jak z kata-pulty, zabierając ją z sobą. Kiedy już stał prosto, opuścił ją na nogi.

— Podobał ci się ten trik, moja Andreo?

— Nie mogę w to uwierzyć! — wykrzyknęła zaszokowana. — Nie jesteś nawet zdyszany!

W istocie, Paul oddychał normalnie; nie było po nim znać najmniejszego choćby wysiłku. Czując, że cała słabnie i drży od wewnątrz, Andrea wpatrzyła się w niego z niemym błaganiem. Intelkt mówił jej, że ta demonstracja siły nie miała nic wspólnego ze sztuczkami. Ale równocześnie zdawała sobie sprawę, że żaden człowiek nie mógłby tego zrobić, tak samo jak nie mógłby bezpiecznie pływać wśród rekinów. A jednak wszystko to naprawdę i widziała, i doświadczyła tego.

— Czy przygotowujesz się teraz, aby ode mnie uciec, tak jak to zrobiłaś tamtego dnia na plaży?

Czy Paul umiał czytać w myślach? Czy może myśli i emocje miała wypisane na twarzy? Andrea westchnęła z rezygnacją, stwierdziwszy, że właściwie nie ma to większego znaczenia.

Paul po prostu był inny od pozostałych mężczyzn. I to jak!

— Nie, nie przygotowuję się do ucieczki — odparła, wciąż wstrząśnięta, lecz próbując się do niego uśmiechnąć. — Myślę, że jesteś trochę dziwny — powiedziała szczerze. Następnie wzdrygnęła się. — Ale ja już się tym nie przejmuję. W gruncie rzeczy lubię twoją inność.

Jego śmiech rozpoczął się od niskich tonów, a następnie rozbudował w pełen radości dźwięk, który tańczył wesoło w wypełnionym zapachem morza powietrzu. Raz jeszcze chwycił ją w pasie, tym razem aby objąć w miążdżącym uścisku.

— Już prawie tam, moja Andreo — powiedział, przybliżając jej głowę ku swojej. — Już prawie tam jesteśmy.

Gdyby nie zagubiła się w świecie, w którym myśli są niepotrzebne, w świecie stworzonym przez bliskość jego ust, Andrea spytałaby, gdzie jest to „tam”.

Ich pocałunek był długi i głęboki — satysfakcjonujący obie strony. Kiedy Paul uniósł głowę, aby spojrzeć na Andree, ona nie zamierzała skrywać swego pożądanego.

— Ach... moja Andreo! — wyszeptał. — Umarłbym szczęśliwie, wiedząc, że jesteś w końcu moja. Ale nie zrobię tego. — Jego usta wykrzywiły się w

uśmiechu zarówno zmysłowym, jak i drażniącym. — Zamierzam żyć, aby przez bardzo długi czas... być może przez dwieście lub trzysta lat, obdarowywać cię czcią i namiętą miłością.

Czując się lekką, wolną, zupełnie nie związaną kajdanami przeszłości i swych własnych obaw, Andrea roześmiała się.

— Jesteś nie tylko dziwny, Paul, ale i szalony! — Przechyliła głowę i po raz pierwszy pocałowała go tak naprawdę swobodnie.

Ich usta złączyły się. Języki rozpoczęły pojedynek. Podniecenie wybuchło jak pożar w ciele Andrei. Westchnienie tęsknoty wydobyło się z jej ust. Paul także odpowiedział westchnieniem.

— Wiem, moje serce, rozumiem — powiedział cicho. — Czuję i podzielam twą namiętność. W tym momencie nie pragnę niczego więcej, niż leżeć w kołysce twych jedwabistych ud i umierać raz po raz. — Poczul, jak zadrżała i przyciągnął ją do swego twardego, nabrzmiałego ciała. — Ale robi się późno, moja Andreo, a my mamy ważne spotkanie.

— Spotkanie? — Zmarszczyła brwi. Dla jej rozgrzanych do czerwoności zmysłów nie mogło być nic ważniejszego od posiadania go w sobie, wypełnienia nim bolesnej pustki. Już samo oczekiwanie na połączenie rozpało jej ciało.

— Spotkanie? — krzyknęła. — Jakie spotkanie?

— Czyż nie organizujemy tego wieczora oddzielnych przyjęć niespodziankowych dla Celi i Blaine'a? — zapytał, łagodnie pobudzając jej pamięć do działania. — O rety! — Na tę wieść w Andrei raptownie wygasło pożądanie. — Przedślubne przyjęcia — kawalerskie i panieńskie!

— Właśnie. — Paul powoli postawił ją na ziemi. — Przedślubne przyjęcia!

Andrea spojrzała na nadgarstek, potem w jego oczy.

— Zapomniałam zegarka! Paul, która godzina? Paul zaśmiał się.

— Ta panika jest niepotrzebna! — powiedział, sięgając po jej dłoń. — Wszystko już przygotowane. A to, co nam pozostało, to przygotować się samemu.

Po powrocie na szkolny parking Paul odwiózł Andreę do domu. Ponieważ ich czas był ograniczony, nie wysiadł z wozu, ale poświęcił dobrą chwilę, aby namiętnie ją pocałować.

— Będę za tobą tęskniła — wyjęczała, kiedy skończył.

Paul uśmiechnął się:

— Będę z powrotem za niecałą godzinę — przypomniał jej.

— Wiem. — Andrea wydeła dolną wargę w przesadnym wyrazie nadsąsania. ~ I tak będę za tobą tęskniła.

Paul ucałował te nadsąsane usta, a potem otworzył drzwi-

— Idź, moje serce — wyszeptał ostrzegawczo — zanim powiem „do diabła z przyjęciami” i zabiorę cię z sobą do domu.

Andreę kusiło okrutnie, aby ponownie zamknąć drzwi, lecz rozważa zwyciężyła nad pożądaniem.

— Za godzinę — powiedziała, wysiadając z samochodu. — Nie spóźnij się.

— Będę wcześniej — obiecał, rozpalając jej krew zniewalającym spojrzeniem.

— Zaczynałam myśleć, że nie zdążysz na obiad — zauważyła Celia, kiedy Andrea weszła do domu.

— Jest mnóstwo czasu — odpowiedziała beztroskim, zziąjanym głosem Andrea. Rzuciła prędkie spojrzenie na ciotkę, potem uniosła brew. — Jeszcze nie jesteś gotowa — zauważyła, wskazując szlafrok Celi.

— Wszystko co muszę zrobić, to zrzucić z siebie ten szlafrok i wślizgnąć się w sukienkę — powiedziała Celia. — Na wypadek, gdybyś nie zauważyła, to informuję cię, że już ułożyłam włosy i zrobiłam makijaż. — Spojrzała na Andreę czule i szeroko się uśmiechnęła. — Z tej okazji wzięłam nawet prysznic.

„Zrobiłaś to z innej okazji, niż myślisz” — powiedziała sobie w duchu Andrea, odwzajemniając uśmiech ciotki. Głośno zaczęła narzekać:

— Dobra, dobra. Dosłyszę przytyk, gdy się nim we mnie dźgnie. Już lecę.

W podniosłym nastroju pocałowała Celię i udała się do swego pokoju.

Kiedy wzięła już prysznic i ubrała się, zaczęła myśleć o tym, co wspólnie z Pauliem wykombinowała na ten wieczór.

Jako dróżba Blaine'a, Paul zaprosił Andreę, Celię i Blaine'a na obiad. Plan zakładał, że Paul zostawi drzwi swego domu otwarte, a Andrea, wymyśliwszy powód, dla którego opuści dom Celi jako ostatnia, zostawi otwarte drzwi kamienicy. Następnie, kiedy cała czwórka będzie na obiedzie w restauracji — którą wybrał Paul, dlatego że usytuowana była w dogodnej bliskości — przyjaciele Celi i Blaine'a zgromadzą się w obu domach, aby udekorować je i przygotować na ich powrót

— Blaine'a do domu Paula, a Celi do jej własnego. Paula obarczono odpowiedzialnością za wymyślenie wiarygodnej wymówki, która odciągnęłaby Blaine'a od Celi.

Dokonawszy ostatecznej korekty makijażu, Andrea uśmiechnęła się. Ciekawiło ją, jaki powód wymyśli Paul, aby nakłonić Blaine'a do odwiedzenia jego domu.

Wszystko przebiegało jak w zegarku. Panowie zjawili się na czas — Blaine wyglądał przystojnie w ciemnym garniturze, a Paul niszczycielsko w białej marynarce i czarnych spodniach.

— Ooo! — wykrzyknął Blaine na widok przyszłej panny młodej, wyglądającej młodo i pięknie w szmaragdowozielonej, jak płaszcz spiętej paskiem sukni.

— Rzeczywiście — powiedział Paul cicho, pożerając ciemnoniebieskimi oczami Andree, która wyglądała niewinnie i zmysłowo w szyfonowej dopasowanej sukni, prawie całkowicie zasłaniającej ciało. Suknia okręcała się przy każdym ruchu wokół jej kształtnych nóg.

Śmiejąc się Celia wkroczyła swobodnie w rozwarte ramiona Blaine'a.

— Domyślam się, że znaczy to, iż zyskałyśmy aprobatę, złotko — powiedziała do Andrei.

— I ja tak myślę — odrzekła Andrea. Chciała pójść w ślady Celi i przywitać się w ten sposób z Paulem, ale zawahała się.

Paul złązał to wahanie uśmiechem i powiedział:

— Skoro wszyscy są już gotowi, to lepiej chodźmy. Jak było wcześniej zaplanowane, Andrea udała, że zapomniała portmonetki.

— Wy troje idźcie naprzód — powiedziała, odwracając się — za minutę do was dołączę.

Kiedy w kilka sekund później wyszła z domu, pamiętała, żeby nie zamykać drzwi na klucz.

Restauracja, która słusznie cieszyła się dobrą reputacją z powodu dań sporządzanych z darów morza, była ulubionym lokalem Celi i Blaine'a. Andrea, Celia i Blaine zamówili specjalność zakładu — scampi. Paul natomiast wybrał ogromną, grecką sałatkę z purpurowymi oliwkami i kawałkami koziego sera.

Jedzenie było pyszne, a rozmowa ożywiona. Andrea świetnie się bawiła, ale przeżyła kilka chwil niepokoju, gdy wychodzili z restauracji.

— Och, mój drogi, spójrz na to niebo! — powiedziała

Celia do Blaine'a. — Czy nie uważasz, że zmarnowalibyśmy tę rozgwieżdżoną noc, wracając teraz do domu?

— Cóż — odparł Blaine, spoglądając w górę. — Moglibyśmy iść gdzieś potańczyć.

Nieświadomie okazując mu bezgraniczne zaufanie, Andrea spojrzała na Paula. On z kolei udowodnił, że można na nim polegać.

— To prawda — powiedział do Blaine'a, zwiększając natychmiast niepokój Andrei. — Ale — ciągnął Paul — jeżeli pójdziemy tańczyć, znajdziemy się pod dachem i nie będziemy mogli cieszyć się tą piękną nocą — zauważył rozsądnie. — Z drugiej strony, moglibyśmy wrócić do domu Celi, nastawić jakieś płyty albo taśmy i potańczyć na patio, pod gwiazdami.

— Racja — zgodził się Blaine.

— Wspaniale! — wykrzyknęła Celia. „Błyskotliwie” — pomyślała Andrea, zastanawiając

się z jeszcze większą ciekawością, w jaki sposób Paul zamierza wysłać Blaine'a do swojego domu.

Doszli już prawie do domu Celi, kiedy Paul uruchomił wreszcie swój plan.

— Ach, przy okazji, Blaine — powiedział niby mimochodem. — Mam dla was prezent. Ponieważ jednak jest trochę ciężki, muszę cię prosić o pomoc w przyniesieniu go. Andrea i Celia wybrałyby w tym czasie jakąś muzykę do tańca.

— Ależ oczywiście — odpowiedział Blaine. — Ale wiesz przecież, że prezent nie był konieczny.

— Trochę ciężki? — zastanawiała się głośno Celia. — Jakież to intrygujące.

Andrea musiała mocno się wysilać, żeby zdławić wybuch śmiechu. Po wyczynach Paula tego popołudnia, pomyśl, że mógłby on potrzebować pomocy przy dostarczeniu prezentu ślubnego, uznała za komiczny.

Andrea wciąż śmiała się w duszy, gdy kilka minut potem udawała, że otwiera kluczem frontowe drzwi. Wewnątrz domu panowały absolutne ciemności. Pchnąwszy drzwi, Andrea uprzejmie przepuściła ciotkę przodem.

— Mogłabym przysiąc, że zostawiłam zapaloną lampę — powiedziała Celia, wchodząc do środka. Potem krzyknęła głośno, gdyż w domu rozbłysło nagle mnóstwo światła i tuzin kobiecych głosów zawołał:

— Niespodzianka! - Przyjęcie bardzo się udało.

Jako że Celia i Blaine planowali długą podróż, zamierzając jechać, dokądkolwiek ich oczy poniosą, Andrea poprosiła gości, żeby na prezenty przynosili rzeczy tzw. „osobiste” Nikt jej nie zawiódł. Pośród śmiechów i westchnień zachwycona Celia odpakowywała wyłącznie delikatne części bielizny damskiej.

Po obejrzeniu ostatniego prezentu, Celia uścisnęła każdego gościa z osobna. Andrea spojrzała na zegar. Jeżeli wszystko przebiegało zgodnie z planem, Paul mógł zjawić się w każdej chwili. Ledwie o tym pomyślała, a drzwi wejściowe gwałtownie się otworzyły. Niosąc ogromny kufer podróżny, Paul i Blaine weszli do pokoju. Za nimi wszedł tuzin mężczyzn w różnym wieku.

— Co się dzieje? — zawołała Celia i ze śmiechem podbiegła do Blaine'a. — Kochanie, Andrea i te wspaniałe dziewczyny obsypały mnie właśnie podarkami ślubnymi!

Upuszczając swój koniec kufra, Blaine przygarnął Celię ramionami.

— Czyż nie mamy wspaniałych przyjaciół? — Ze śmiechem domagał się potwierdzenia, całując ją lekko w czoło. — Te typki właśnie urządziły dla mnie wieczór kawalerski!

— To był pomysł profesora — powiedział Mac przez ramię, przechodząc przez pokój w kierunku Melly. Za nim weszli pozostali mężczyźni.

— Hej! — Szef wydziału historii w Parker zdołał przekrzyczeć gwar śmiechów i pogaduszek. — Paul obiecał nam jakieś żarcie i pokrzepiające trunki, kiedy już tu dotrzemy!

— A ja ciągle mam ochotę tańczyć z moim mężczyzną na patio pod gwiazdami — ogłosiła Celia.

Andrea spojrzała na Paula i uśmiechnęła się.

— No, profesorku — nagabnęła go. — Lepiej zabierzmy się do roboty.

Zmysłowy uśmiech pojawił się na jego ustach, gdy na nią patrzył. Rozluźnił uchwyt na kufrze i powoli podszedł do niej. Wziąwszy ją za rękę, poprowadził do kuchni, gdzie kobiety złożyły przyniesione jedzenie i napoje. Kiedy już nikt nie mógł ich zobaczyć, przyciągnął ją ku sobie.

— Pracujmy szybko, moja Andreo — wyszeptał do jej ust. — Bo ja ciągle mam ochotę tańczyć pod gwiazdami z moją kobietą.

I rzeczywiście długo tańczyli w spowitej światłem gwiazd nocy. Zamknięta w jego uścisku, Andrea marzyła o polance i fantastycznym, a przecież prawdziwym mężczyźnie w jej ramionach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W środę tego samego tygodnia Andrea pomyślała, że znajdzie czas na spotkanie z Paulem na ich polance dopiero po ślubie Celi, który miał się odbyć w sobotę,

W poniedziałek i we wtorek Celia poprosiła ją o zrobienie po zajęciach kilku rzeczy, o których przypomniała sobie w ostatniej chwili.

Tak więc i w środę rano Andrea zeszła na śniadanie, oczekując kolejnych poleceń. Rezygnowanie ze spotkań z Paulem nie przychodziło jej łatwo, ale teraz najbardziej zależało jej na tym, żeby ślub Celi wypadł jak najlepiej.

Celia mile ją zaskoczyła, informując, że nie ma dla niej żadnego zajęcia na ten dzień.

— Czy nie będzie ci przeszkadzało, że zostawię cię samą na obiedzie? — zapytała Celia, spoglądając na bratanicę znad porannej gazety. — Chciałabym pojechać do San Francisco po zakupy. Wciąż jeszcze nie mam strojów na wyjazd.

Andrea uśmiechnęła się na myśl o ogromnej szafie Celi, wypchanej ubraniami. Chociaż Celia miała wystarczająco dużo ciuchów, żeby otworzyć własny butik, Andrea rozumiała jej potrzebę zaskakiwania Blaine'a wciąż czymś nowym.

— Oczywiście, że nie — odpowiedziała Andrea. — Przecież wiesz, że będę sama prawie co noc, kiedy wyjedziesz z Blaine'em.

— Wiem — westchnęła Celia. — To jedyna rzecz, która mnie teraz martwi.

Odłożywszy serwetkę na stół, Andrea podeszła do ciotki.

— Myślałam, że wszystko już ustaliłyśmy, ciociu — powiedziała, nachylając się nad Celią, aby ją uścisnąć.

— Poradzę sobie. Naprawdę. Może trudno będzie ei się z tym oswoić, biorąc pod uwagę to, że pamiętasz jeszcze, jak zmieniałaś mi pieluszki. Ale ja jestem już dużą dziewczynką.

Oczy Celi zwiłgotniały lekko.

— Wiem — powiedziała. — To właśnie mnie martwi.

— Potrafię się o siebie zatroszczyć — zapewniła ją Andrea, zbierając książki i ruszając w kierunku drzwi.

— Czułabym się znacznie lepiej, gdyby to Paul się o ciebie troszczył! — zawołała za nią Celia.

„Ja też” — pomyślała Andrea.

Ta myśl była tak zaskakująca, że Andrea prawie wybiegła z domu. „Czyżbym zaszła już tak daleko, żeby rozważyć możliwość powierzenia Paulowi opieki nade mną?” — zastanawiała się w drodze na uczelnię.

Zanim weszła do sali wykładowej, została zatrzymana przez Melly, którą rzadko widywała, bowiem nie miały innych wspólnych zajęć oprócz wykładów z Paulem.

— Muszę z tobą porozmawiać, Andreo — powiedziała lekko zdyszana Melly. — Zaczekasz po zajęciach?

Andrea od razu pomyślała o Paulu i zawahała się chwilę, ale zaraz pomyślała, że poza paroma spotkaniami towarzyskimi, jak to w ostatnią niedzielę, nie widziała Melly od końca wakacji.

— Oczywiście — odpowiedziała przekonana, że Paul to zrozumie.

Dyskusja na zajęciach z nauk o ziemi toczyła się jak zwykle ożywiona, ale Andrea nie brała w niej udziału. Nawet nie bardzo zdawała sobie sprawę, czego dotyczyła. Jej rozmarzone oczy utkwione były w nauczycielu.

Paul rozluźniony, zaangażowany i niesamowicie fascynujący, opierał swoje smukłe ciało o biurko. Zdawał sobie sprawę z tego, że Andrea go obserwuje. Co jakiś czas, jego ciemnoniebieskie oczy spoglądały na nią i syciły się jej widokiem, zanim znowu objęły całą grupę.

Zasłuchała się w jego miękki głos.

On mówił:

— ...ale dotyczy to archeologii, nie... Ona słyszała:

— ...nie mogę się doczekać, żeby cię przytulić, pocałować...

Andrea była tak pogrążona w myślach o Paulu, że hałas wstających z ławek studentów przestraszył ją. Otrząsnąwszy się z tego snu na jawie, powiedziała do Melly, że spotka się z nią na korytarzu. Potem czekała, aż sala się opróżni.

— Znowu musisz coś załatwić dla Celi? — zapytał cierpliwym tonem Paul, gdy za ostatnim studentem zamknęły się drzwi. ,

— Nie — Andrea zaprzeczyła. — Ale Melly chce ze mną porozmawiać. Czy mógłbyś pójść pierwszy?

Wiedziała, że nie musi mu mówić, gdzie ma iść.

— Będiesz tam?

— Tak.

— Wobec tego zgoda.

Obdarzył ją uskrzydającym uśmiechem. Szybko pobiegła do Melly, chcąc jak najszybciej z nią porozmawiać i odzyskać wolność, aby iść do niego.

Melly siedziała na jednej z ławek na dziedzińcu. Zbliżając się do przyjaciółki, Andrea zauważyła, że jest ona blada i wygląda na zmęczoną.

— Melly, czy coś jest nie tak? - zapytała. — Wyglądasz nie najlepiej.

Melly potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

— Chciałam ci powiedzieć, że od przyszłego tygodnia nie będę przez pewien czas chodziła na zajęcia.

— Czy coś nie jest w porządku? Melly, o co chodzi?

— Jestem w ciąży — oznajmiła Melly.

— Och, Melly! — szepnęła Andrea. — Co masz zamiar zrobić? — spytała zatroskana.

— Zrobić? — roześmiała się Melly. — Zamierzam wyjść za Maca. Oto, co zrobię! — Uniosła dłoń do ust, aby stłumić chichot. — Stary, poważny Mac jest zachwycony perspektywą zostania tatusiem.

Andrei przemknęło przez głowę wspomnienie ostatniej niedzieli, kiedy to Mac zaraz po przyjściu na przyjęcie skierował się do Melly.

— Ale kiedy... to znaczy... Kiedy o tym wszystkim zdecydowaliście?!

— Ostatniej nocy — odparła Melly. — Wczoraj po południu otrzymałam potwierdzenie, że jestem w ciąży i zaraz potem ustaliliśmy nasze plany.

Melly wzięła głęboki oddech i mówiła dalej.

— Natychmiast zdecydowaliśmy się pobrać. Ponieważ mam straszne mdłości poranne, postanowiłam przerwać naukę do następnego semestru.

Lekko oszołomiona nowinami, Andrea potrząsnęła głową, jakby to mogło jej pomóc.

— Gdzie i kiedy odbędzie się wasz ślub? — zapytała wreszcie.

— Wiesz, że pochodzę z Minnesoty? — zapytała Melly. Kiedy Andrea przytaknęła, mówiła dalej. — Chociaż bardzo chciałam się stamtąd wydostać, to jednak teraz pragnę wrócić, żeby tam wyjść za mąż. Chcę, żeby moja rodzina poznała Maca.

— No, na pewno! — roześmiała się Andrea, chwytając dłoń Melly. — Kiedy wyjeżdżacie?

Melly uśmiechnęła się.

— Dopiero po ślubie twojej cioci, za nic bym go nie opuściła!

Trzymając się za ręce i chichocząc jak nastolatki, Andrea i Melly rozmawiały jeszcze przez pół godziny. Kiedy się rozstały, Andrea знаła nie tylko datę ślubu, ale również przypuszczalny czas narodzin dziecka.

Spiesząc poprzez sosnowy zagajnik, Andrea rozmyślała nad tym, jakie to musi być wspaniałe uczucie — nosić w sobie dziecko ukochanego

mężczyzny. Kiedy wyszła z gąszczu na ścieżkę, na jej twarzy malowało się rozmarzenie.

Paul czekał. Andrea podbiegła do niego.

— Och, Paul, mam wspaniałe nowiny! — zawołała, wpadając w jego otwarte ramiona. — Melly jest w ciąży! Ona i..

— Wiem, moja piękna — przerwał jej delikatnie Paul. — Rozmawiałem dziś rano z Macem.

Andrea nagle zaniepokoiła się o przyjaciółkę. Spojrzała na Paula i chcąc dowiedzieć się, czy Mac nie okłamał Melly, zapytała:

— I co Mac na to...? Mam na myśli dziecko.

Gdy Paul uśmiechnął się, Andrea wiedziała, że może być spokojna.

— Myślę, że „zachwycony” to najlepsze określenie. Andrea westchnęła z ulgą. Objęci poszli ścieżką na swoją polankę. Myśl o Macu przypomniła jej, jak często mówił on o „psorze” Spojrzała z zaciekawiona na Paula.

— Masz jakieś pytanie?

— Uhm. Zastanawiałam się, dlaczego przez całe lato cię nie spotkałam. Pamiętam, że Celia wspomniała, iż wróciłeś właśnie tego dnia, kiedy przyszedliście do nas z Blaine'em. Byłeś na wakacjach?

— Tak — odparł. — Odwiedziłem rodziców.

— W Teksasie?

Paul potrząsnął głową.

— Nie. Moi rodzice nie mieszkają już w Teksasie. Kilka lat temu wrócili do ojczyzny mojego ojca.

— Aha.

Andrea zamilkła na moment. Oczyma wyobraźni widziała błękitne wody Morza Egejskiego i oślepiająco białe, skapany w słońcu Akropol. Kiedy doszli do polanki, wizja zbladła.

— Nic dziwnego, że jesteś tak pięknie opalony — zauważyła.

Paul zaśmiał się.

— Tak, ojczyzna mojego ojca pławi się w słońcu.

Usiadł u stóp starego drzewa, a Andrea wtuliła się w jego ramiona.

— Twoi rodzice są naukowcami, prawda? — zapytała.

— Moja matka jest biologiem — odpowiedział, pocierając policzkiem o jej włosy. — A mój ojciec jest... naturalistą.

Andrea nie zauważyła tej krótkiej pauzy. Była zbyt zaabsorbowana rozkosznymi dreszczami przechodzącymi przez jej ciało. Uwielbiała to uczucie. Wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

— Jest ci zimno? — Paul pochylił głowę, aby na nią spojrzeć. — Jesteśmy blisko ciepła mego domu, Andreo.

Andrea nagle poczuła wewnętrzne zimno. Z nieznanym sobie powodów miała mieszane uczucia, na temat pójścia do jego domu.

— Nie, jeszcze nie, Paul. Proszę, bądź cierpliwy jeszcze przez jakiś czas.

— Będę cierpliwy tak długo, jak to będzie możliwe — odpowiedział cichym głosem, deprymując ją jeszcze bardziej. — Spodoba ci się ten dom. To dokładna replika domu, który czeka na mnie w ojczyźnie mego ojca.

Andrea aż usiadła ze zdziwienia.

— Czeka na ciebie? — powtórzyła, wpatrując się w niego. — Nie rozumiem. Czy chcesz powiedzieć, że zamierzasz wyjechać stąd pewnego dnia?

— Tak — odpowiedział. — Tam czuję się najbardziej u siebie.

Starając się stłumić poczucie porzucenia, zakradające się do jej myśli, Andrea zaprotestowała:

— Ale co z twoją pracą? Co z twoją karierą? Paul przyciągnął ją do siebie.

— Mogę pracować tam, kochanie — zapewnił ją. — Mogę tam również kochać.

Miłość. To uczucie dołączyło się do pozostałych, targających nią emocji. Miłość.

Zaufanie. Zdrada.

Nagle Andrea wystraszyła się, sama nie wiedząc dlaczego. Przywarła do jego silnego ciała, szukając bezpieczeństwa w jego objęciach.

— Przytul mnie — prosiła. — Przytul mnie mocno.

— Tak, Andreo — powiedział, unosząc jej głowę do swych ust. — Przytulę cię i już nigdy nie puszcę.

Pod dotykiem jego ust nie wy tłumaczami strach Andrei przerodził się w zrozumiałe pożądanie. Nigdy nie przypuszczała, że potrafi tak pragnąć" jakiegokolwiek mężczyzny, jakiegokolwiek cielesnego mężczyzny. Opłótny rękami jego szyję, Andrea odwzajemniła pocałunek i uległa mu.

Wargi Paula były jeszcze bardziej spragnione niż jej. Pogłębił pocałunek, smakując słodczy jej warg ustami i językiem. Jego ręce przesuwaly się po jej ciele, głaskały piersi, co wywołało u niej dreszcz rozkoszy.

Andrea, idąc za nakazem swych najgłębszych uczuć, które tylko on potrafił wyzwolić, nie pozostawała bierna.

— Andrea, Andrea — powtarzając rozpaczliwym szeptem jej imię, Paul delikatnie ułożył ją na trawie i drżącą nakrył swoim ciałem.

Andrea instynktownie rozwarła uda. Paul uniósł się na wyprostowanych rękach, aby spojrzeć w jej oczy, potem ostrożnie podciągnął w górę spódnicę, odsłaniając nogi. Andrea czuła, jak nasila się wewnątrz niej pełne napięcia drżenie, gdy ciało Paula spoczęło w dolinie jej aksamitnych ud. Szorstki materiał dżinsów ocierał się zmysłowo o miękki jedwab jej bielizny, napierał na delikatną skórę, rozniecając w niej potężne pragnienie.

— Paul! — krzyknęła, oddając się całkowicie przyjemności.

W odpowiedzi Paul naparł na nią całym swym ciężarem, dając jej odczuć, jak bardzo jest podniecony. To jeszcze bardziej podsyciło jej pożądanie.

Posłuszna swoim zmysłom, objęła go w biodrach i przyciągnęła jeszcze mocniej do siebie, unosząc jednocześnie biodra na spotkanie jego męskości, rozsadzającej opięte spodnie. Napięcie wzrosło do granic możliwości. W potrzebie dotykania go, czucia jego nagiego ciała, Andrea przesunęła ręce ku guzikom jego koszuli.

Zupełnie jakby znowu odgadł jej myśli, Paul oderwał się od niej. Zdziwiona i zmieszana tym, Andrea patrzyła na niego pytająco.

— Paul... ja chcę...

— Tak, kochanie — wyszeptał. — Ja też chcę... bardzo. Chwyciwszy za ramiona, podniósł ją wraz z sobą.

Kiedy już siedziała naprzeciw niego, uniósł jej ręce z powrotem do guzików swojej koszuli.

Patrzyła na niego długą chwilę, wahając się przed rozpoczęciem aktu, który dotąd był dla niej zawsze nieprzyjemnym, wstydliwym obowiązkiem. Przykre wspomnienia walczyły w niej z pragnieniem całkowitego oddania się Paulowi. Rozdarta między przeszłością, a tą chwilą, patrzyła na niego wzrokiem błagającym o pomoc.

Paul uśmiechnął się i sam zaczął rozpinać jej bluzkę, przemieniając jej wahanie w natychmiastową zgodę. Pod jego czułą opieką odkryła erotyczną przyjemność, czerpaną z wolnego, zmysłowego rozbierania mężczyzny, którego się pragnie.

Kiedy już wyzwolili się ze wszystkiego, co ich kępowało, oddali się poznawaniu, za pomocą dotyku, swych obnażonych ciał.

Nie miotali się, nie wykonywali żadnych gwałtownych ruchów, lecz sycili się zmysłowym pięknem partnera. Z każdą kolejną pieszczotą ciało Andrei coraz bardziej ożywało, z każdym nowym doznaniem stawało się wrażliwsze na jej potrzeby i na żądania Paula. Po raz pierwszy w życiu zmysły Andrei zostały w pełni rozbudzone. Drżała w oczekiwaniu rozkoszy, gdy Paul zno-

wu złożył delikatnie jej ciało na miękkiej trawie. Kiedy tym razem osunął się w kołyskę jej ud, nie było między nimi żadnej bariery.

— Teraz, moja Andreo, jesteśmy naprawdę wolni, aby wyrazić wszystkie nasze uczucia — wyszeptał Paul, opierając o nią wygięte w łuk ciało.

— Tak! - wykrzyknęła Andrea chrapliwym głosem. - Och, Paul, tak... tak!

Tak jak przedtem, przesunęła dłonie na jego biodra, aby przynaglić go do ostatecznego połączenia ich ciał.

Poruszył się na niej raz jeszcze, podsycając jej namiętność. Przez całe ciało Andrei, od nerwu do nerwu, przebiegł ogień, który następnie skumulował się w jeden płomień w samym sercu jej kobiecości.

Mamrocząc coś cicho i niezrozumiale, Andrea zacisnęła palce i wpiła paznokcie w jego skórę, milcząc błagała, aby ją posiadał.

Paul odpowiedział natychmiast. Nachylając się nad nią, nakrył jej usta swoimi, a potem równocześnie zatopił w nich język, a swoją męskość w jej łonie.

Napięcie. Pożądanie mogące się równać tylko z tym, którego doznała we śnie. Ale teraz, w rzeczywistości, pragnienie to było o wiele silniejsze. Andrea przywarła do Paula i powtarzając jego imię, poddała się namiętności, która rosnąc nieustannie, przybliżała ją do bram raju. Kiedy wreszcie stanęły przed nią otworem, napięcie opadło nagle, pozostawiając ją w świecie rozświetlonym miliardem oślepiających, pulsujących świateł.

— Paul! — zawołała.

Jej własne imię wróciło do niej echem:

— Andrea!

Ich drżące ciała długo pozostawały w miłosnym uścisku. Doznali teraz ostatecznego spełnienia. Ekstaza.

Dla Andrei „ekstaza” była zawsze pustym słowem — słowem pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia. Teraz, gdy Paul już odpoczywał, ale wciąż pozostawał w niej, drżący i bardzo prawdziwy, jej wrażliwe ciało zdefiniowało dla niej słowo „ekstaza”

Andrea, idąc za głosem intuicji, gładziła dłońmi ciało Paula. Poruszył się, zamruczał i odpowiedział na jej pieszczotę, przyciskając swe rozchylone usta do jej sutka.

Zainspirowana dreszczem, którego doznała w wyniku jego reakcji na pieszczotę, Andrea polizała koniuszkiem języka zwilgotniałe od wysiłku ramię Paula. Tym razem poczuła, że poruszył się wewnątrz niej, nie przestając ani na moment delikatnie ssać jej piersi.

Gra miłosna.

I to określenie uważała dotąd za wytwór wyobraźni marzycieli. Lecz teraz, doświadczywszy jego znaczenia, Andrea stała się nienasyconym poszukiwaczem prawdy.

Czasami mamrocząc zachęcające słowa miłosne, czasami śmiejąc się, Andrea i Paul dawali sobie nawzajem rozkosz.

Będąc w niej zanurzonym, Paul wspierał swe ciało na jednej ręce i studiował jej kształty drugą. Zaczynając od czoła, obrysowywał palcami jej twarz. Szczegółowo badał każdą kostkę i każdy dołek na szyi, zanim przesunął rękę niżej. Podwoił intensywność pieszczot, głaszcząc jej piersi obiema rękami. Zanim przesunął rękę w dół, na jej płaski brzuch, Andrea prawie straciła przytomność. Złapała gwałtownie oddech, gdy poczuła rozgrzaną dłoń na swoim łonie i gdy Paul zaczął delikatnie pieścić miejsce, w którym ich ciała łączyły się w jedno.

Potem ona zaczęła głaskać każdy centymetr ciała Paula w zasięgu jej ręki. Tak samo jak on, rozpoczęła od jego doskonale ukształtowanej twarzy, po raz kolejny zachwycając się męskim pięknem. Musnęła palcem o kark, zmierzyła szerokość ramion. Tak jak on, poświęciła szczególną uwagę jego piersi. Odwzajemniając się dreszczem za dreszcz, którego sama doznała, zaczęła ssać małe, męskie sutki, czochrając jednocześnie jedwabiste włosy porastające pierś Paula. Jego oddech stał się szybki i nierówny, gdy przesunęła dłonie w dół jego tułowia. Wygiął plecy w łuk, aby umożliwić jej dostęp do dolnych rejonów swego ciała. W porównaniu z gęstą czupryną na głowie i gęstymi włosami na piersi, które cienką linią biegingy aż do lędźwi, zadziwiała reszta ciała zupełnie gładka i pozbawiona owłosienia. Zafascynowana swoim odkryciem, Andrea głaskała jego pachwiny i uda. Skóra, którą wyczuwała pod palcami, była napięta, ale sprężysta i jak atlas gładka. Pod wpływem tych doznań w jej głowie powstało wyobrażenie delfina wyskakującego nad wodę, zwłaszcza jego gładkiej i lśniącej w słońcu skóry.

Ta wizja była intrygująca i Andrea może zastanowiłaby się nad nią dłużej, ale w tym momencie poczuła, że w Paula znowu wstępują siły żywotne. Gwałtownie otworzył przymknięte oczy. Wydała z siebie cichy okrzyk zdziwienia.

— Tak, moja Andreo — powiedział tym ciepłym tonem, który przyprawił ją o dreszcze. — Droga do raju znów stoi przed nami otworem.

Schyliwszy głowę, wyszeptał w jej rozchylone usta:

— Czy pójdziesz nią razem ze mną?

W odpowiedzi Andrea oplotła jego szyję ramionami, a biodra nogami i wygięła swe ciało w łuk, poddając się jego coraz szybszym ruchom.

Wspaniałe miłosne napięcie opadło dopiero wtedy, gdy jej radosna dusza osiągnęła pełnię ekstazy. Lecz kiedy tym razem krzyknęła, z jej ust wyrwała się podświadomie akceptowana przez nią prawda:

— Kocham cię! Kocham cię! Usłyszała chrapliwy głos Paula:

— Tak jak zawsze kochałem ciebie.

„Zawsze?” — To słowo przemknęło jej przez myśl, lecz zaraz zostało wymazane przez intensywność doznań odbieranych ciałem.

Wyczerpana i nasycona, Andrea osunęła się w ciepłe schronienie jego ramion. Zapadając w sen, głaskała jeszcze przez chwilę atlasową skórę na brzuchu człowieka, który tak bardzo ją fascynował.

— Andrea. — Miły dźwięk głosu Paula wyrwał ją z otchłani snu. — Obudź się, moja miłości. Robi się późno, Celia będzie się niepokoić.

„Moja miłości”. — W zamroczonym jeszcze umyśle Andrei pojawiło się wspomnienie snu o wymyślonym kochanku, szepczącym, że jest jego miłością, że zawsze nią była, od momentu swojego stworzenia. Ale to przecież ona go stworzyła! Myśli Andrei były poplątane, niejasne. On opuścił jej sny, aby zlać się w jedno ze swoim fizycznym duplikatem. Kochała się z nim w najcudowniejszy sposób tak na jawie, jak i we śnie.

„Czy oni są jednym i tym samym mężczyzną?” — zastanawiała się. Znowu ogarnęły ją wątpliwości. Otrząsnęła się z resztek snu — musiała być w pełni rozbudzona, aby udowodnić sobie jego prawdziwość. Otworzyła oczy i westchnęła z ulgą.

Paul, bardzo prawdziwy i cielesny, uśmiechał się do niej.

— Śpisz smacznie i głęboko, gdy zrzucisz z siebie więzy skrywanych zahamowań, moja Andreo — powiedział. — Robi się ciemno i chłodno.

Andrea zauważyła to dopiero wtedy, gdy zwrócił jej na to uwagę. Nakrył ją swoją koszulą i osłonił własnym ciałem przed wiatrem.

— Nie jest mi zimno — powiedziała, spoglądając mu w oczy. — Ale tobie musi być. Cały wystawiłeś się na wiatr.

Paul potrząsnął głową.

— Nie. Rzadko kiedy czuję zimno. Ale jest już późno. Celia będzie się martwić.

Uśmiechnął się i przypomniał jej o ich miłosnym wysiłku.

— No i musisz umierać z głodu — dodał.

— Celia nie będzie się martwić, bo nie ma jej w domu — powiedziała Andrea, unosząc ramiona nad głową i przeciągając się leniwie. — Ale masz rację. Zgłodniałam.

Oczy Paula pociemniały, jakby nie potrafił oprzeć się urokowi jej ciała, wyprężonego tak zachęcająco blisko niego.

Okazał się jednak być silniejszym z nich dwojga. Rzucając jej ostatnie tęskne spojrzenie, odsunął się od niej i wstał. Potem, pochyliwszy się nad nią, podniósł ją, aby jeszcze raz pocałować.

Później, gdy siedzieli blisko siebie w narożnej kabinie baru szybkiej obsługi, śmiejąc się i szepcząc, pochłonęli ogromną pizzę i dwie porcje sałatki.

Było już późno, kiedy Paul odwiózł Andreę do domu. Gdy zatrzymali się na podjeździe, Andrea westchnęła:

— Nie będziemy mogli się spotkać aż do soboty. Muszę pracować jutro i w piątek.

— Wiem. — Paul również westchnął. — W dodatku ty powinnaś spędzić ten piątkowy wieczór z Celią, a ja z Blaine'em.

— Tak, w sobotę ślub — uzupełniła Andrea. Paul rzucił jej nonszalancki, seksowny uśmiech.

— Będziemy mogli potańczyć przy nastrojowej muzyce — powiedział kusząco.

Niechętnie rozstawał się z nią przed drzwiami, pocałowawszy ją jeszcze namiętnie na dobranoc. Wspominając jego podniecające pocałunki, Andrea wzięła prysznic i rzuciła się na łóżko. Nie pozwoliwszy sobie na myśl o możliwych konsekwencjach swojego postępowania, zasnęła spokojnie, z lekkim uśmiechem miłosnej satysfakcji na ustach.

* * *

Ślub był uroczysty i piękny.

Stojąc przy swej ciotce, słuchając, jak wymienia ona z Blaine'em słowa przysięgi małżeńskiej, Andrea wspominała inny ślub, który miał miejsce poprzedniej wiosny. W jej myślach z głosami Celi i Blaine'a wymieszały się głosy Alycii i Seana. Nagle Andrea poczuła przemożne pragnienie spotkania się z nimi i z Karłą. Jednak, gdy po zakończonej ceremonii spojrzała w oczy Paula, zapomniała o wszystkim.

Rzeczywiście, nie opuścili z Paulem żadnego wolnego tańca. Do szybkich prosił ją Mac, a z Blaine'em zatańczyła tango. Zarumieniona i roześmiana podeszła razem z Paulem do obficie zaopatrzonego bufetu. Zdecydowała się

na urozmaicony zestaw owoców morza. Kiedy jedli, Andrea zauważyła, że Paul, pominał w wyborze mięsne i morskie przysmaki.

Zastanowiło ją to. Przywołała w pamięci wszystkie posiłki, jakie kiedykolwiek jadła z Paulem. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek jadł on mięso, drób albo chociażby małże czy ostrygi.

Paul zauważył, że Andrea ma jakiś problem.

— Czy coś jest nie tak z twoim jedzeniem? — zapytał.

— Nie — zaprzeczyła. — Zastanawiałam się właśnie nad twoim. — Spojrzała na zestaw warzyw i owoców na jego talerzu.

— O co ci chodzi? Andrea westchnęła.

— Ciekawi mnie, czy jesteś jednym z tych kalifornijskich fanatyków zdrowej, wegetariańskiej żywności, o których tyle słyszałam.

Kąciki jego ust drgały, gdy wolno pokręcił głową.

— Nie, Andreo — odparł, z ledwością powstrzymując śmiech. — Zapewniam cię, że nie jestem fanatykiem zdrowej żywności.

— Czy jadasz mięso, drób albo ryby? — zapytała.

— Nie.

— Dlaczego?

— Ponieważ, moja droga Andreo, w ojczyźnie mego ojca nie jada się mięsa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez resztę przyjęcia, Andrea próbowała dociec, co kryło się za tak prosto wyrażonym powodem - wegetarianizmu Paula. Może, gdyby potrafiła wziąć jego słowa za dobrą monetę, mogłaby się z tego otrząsnąć.

Powoli zaczynała rozumieć, że wszystko, co Paul mówił, można było odebrać dosłownie — niezależnie od tego, jak niepojęte mogłyby się pewne fakty wydawać. Jednak tego oświadczenia nie mogła uznać za prawdziwe. Wiedziała przecież, że Grecy jedzą mięso, drób i ryby. Z kolei każde inne wyjaśnienie nie miało sensu.

Andrea zastanawiała się nawet, czy nie poprosić Paula o wyjaśnienie, ale odrzuciła ten pomysł, gdyż intuicyjnie przeczuwała, że jego wytłumaczenie nie odpowiadałoby jej. W końcu zdecydowała się zapomnieć, zarówno o tej sprawie, jak o wielu innych nurtujących ją pytaniach, związanych z Paulem.

W niedzielę rano nie pamiętała już o tej intrygującej dyskusji. Zdążyła stęsknić się za Celią, chociaż nie było jej w domu zaledwie przez jedną noc.

Ale Celia przyszła przed południem, aby się upewnić, czy o niczym nie zapomniała. Przy kawie jeszcze raz omówiła z Andrea plan podróży.

Zamierzali z Blaine'em polecieć do Nowego Jorku jeszcze tego wieczora, a po kilku dniach zwiedzania, wybrać się do Londynu. Stamtąd, przez kanał La Manche, udawali się do Francji. Po spędzeniu tygodnia w Paryżu, chcieli, ekskluzywnym statkiem, opłynąć wybrzeża Morza Śródziemnego.

Ponieważ najdłuższą podróż w życiu Andrea odbyła, lecąc z Pensylwanii do Kalifornii, plan Celi i Blaine'a wydawał się jej ekscytujący i czuła się tak, jakby to ona sama miała wybrać się i do Francji, i do Londynu.

Ale kiedy wraz z Paulem pomachała na pożegnanie udającym się na lotnisko nowożeńcom, poczuła się zawiedziona i opuszczona.

— Jesteś bardzo cicha — powiedział Paul. — Czyżby opadły z ciebie emocje?

Tę noc i dwie następne spędzili kochając się, już nie na trawie, lecz w wygodnym łóżku Andrei.

Tydzień po ślubie Celi, Andrea otrzymała zaproszenie do Sedonu, na otwarcie galerii Karli. Gdy czytała notatkę, napisaną przez przyjaciółkę u dołu ozdobnej karty, osaczyły ją wspomnienia.

„Droga Andreo — pisała Karla. — Czy tęsknisz do Alicji i do mnie tak, jak ja tęsknię do was? Wiedz, że chociaż pewnie nie będziesz mogła

przyjechać na moje wielkie otwarcie, będę o Tobie myślała. Bardzo bym chciała móc podzielić się z Tobą tą chwilą".

Oczy Andrei zaszyły łzami, gdy po raz drugi czytała te słowa. Odczuła głębokie pragnienie zobaczenia swoich przyjaciółek. Zdecydowała, że bez względu na wszystko musi być na otwarciu galerii Karli, nawet jeśli na opłacenie biletu lotniczego wyda resztę swoich oszczędności.

W sobotnie popołudnie, gdy Andrea gapiała się przez okno na deszczowy krajobraz, zadzwonił telefon. Wszystko pojaśniało, kiedy usłyszała głos swojej rozmówczynie.

— Alycia! Gdzie jesteś? Jak się masz! Jak tam Sean?

— Andrea, jak dobrze cię słyszę! — Alycia zaśmiała się. — Jestem w Nowym Jorku. Oboje z Seanem mamy się dobrze.

Zawahała się przez moment, a potem ciągnęła:

— Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że bez względu na to, czy tak planowałaś, czy nie, będziesz na uroczystości u Karli w przyszłym tygodniu.

— Tak? — zaśmiała się Andrea. — Cóż, w rzeczy samej! Mam zamiar tam być.

— Czy zrobiłaś już rezerwację? — zapytała Alycia.

— Nie. Chciałam to zrobić w poniedziałek.

— Więc nie rób! — rozkazała Alycia. — Sean zajmie się wszystkim.

— Dlaczego?

— To ty nie wiesz? — zapytała poważnie Alycia. — Sean ma świetnego agenta, który potrafi załatwić nam wyjazd na Florydę w sierpniu i na Alaskę w styczniu!

Andrea roześmiała się... ze łzami w oczach. Była szczęśliwa, że znowu może przekomarzać się z przyjaciółką.

— Jeśli naprawdę dopisze nam szczęście, to może ten agent zarezerwuje wam miejsca na pierwszy lot na przyjazną planetę — powiedziała.

— Nie — odparła Alycia. — Ten facet nie zna żadnych przyjaznych ludzi, nie mówiąc już o kosmitach.

— Jaka szkoda. To mogłoby być zabawne i z pewnością nikt by się nie nudził.

— Hm, co i, ja raczej będę się trzymać ziemi. To ty jesteś kosmiczną wariatką.

— Byłam — powiedziała z westchnieniem Andrea.

— Hej, Andrea, masz jeszcze czas — pocieszyła ją Alycia. — Nie porzucaj nadziei na pracę w NASA.

— Chyba już zwątpiłam — przyznała się Andrea. — Wróciłam do szkoły i robię studia podyplomowe. A co ty masz w planach?

— Chcę się trzymać historii — odpowiedziała Alycia. — Teraz pomagam Seanowi w zbieraniu materiałów do jego najnowszej książki.

— Wydajesz się być szczęśliwa — powiedziała miękko Andrea.

— Jestem szczęśliwa — odparła Alycia. — Ale często tęsknię za moimi współtowarzyszkami z okresu swobody i zabawy.

— Ja też — przyznała Andrea.

— Więc spotkamy się w przyszłym tygodniu. Nie kupuj biletu, ale poczekaj na potwierdzenie rezerwacji przez linie lotnicze. Sean zajmie się wszystkim, dobrze?

Pamiętając, jak kompetentnie Sean zajął się kilkoma obiadami w mieszkaniu, które dzieliły we trójkę, Andrea poddała się i odpowiedziała: — Dobrze.

Trzymała słuchawkę w ręce, jeszcze przez kilka sekund po wymienionych słowach pożegnania. Zupełnie, jakby miała nadzieję, że nie odkładając jej, utrzyma dłużej połączenie z przyjaciółką. Wreszcie położyła słuchawkę na widełkach i — ze smutnym uśmiechem — ponownie zajęła swoje opuszczone stanowisko przy oknie, które wychodziło na południowy zachód. Roztaczała się z niego panorama wybrzeża i Oceanu Spokojnego. Andrea nie dostrzegła ani deszczu, ani ciemnych chmur wiszących nad oceanem, ponieważ — mimo że patrzyła za okno — oczy miała zwrócone do wewnątrz.

To, co tam widziała, było równie niewesołe, jak świat za oknem. Tak jak dzień, ciężki od nisko zawieszonych chmur, Andrea czuła się przytłoczona ciężarem smutku i wątpliwości... wielu wątpliwości.

Znowu została sama.

Odczuwając pustkę domu i własnego życia, Andrea westchnęła i oparła czoło o zimną szybę okienną.

Chociaż widywała Paula codziennie na zajęciach, chociaż prawie co wieczór jadła z nim obiad, chociaż spała z nim co noc, Andrea czuła, że w zasadzie jest zupełnie sama.

Samotność — to była znana, ale niepożądana towarzyszka życia, z którą zetknęła się już w dzieciństwie. Pozostawała jej ona wierna, gdy Andrea bezradnie patrzyła, jak odchodzą od niej ci, których kochała.

Będąc dzieckiem, Andrea dawała miłość otwarcie i radośnie, lecz z czasem, w miarę jak kolejno opuszczali ją ukochani przez nią ludzie, stawała się coraz bardziej ostrożna.

Pierwszy odszedł od niej ojciec. Chociaż nie miał on żadnego wyboru, Andrea czuła, że w jakiś sposób jest winna jego śmierci. Następna była matka, która porzuciła Andreę dla ukochanego mężczyzny. Potem Zach zostawił ją dla innej kobiety. Wtedy Andrea zaczęła zamykać się w sobie.

Inni, jak Alycia, Karla, Celia, a nawet Melly, też w pewien sposób odeszli z życia Andrei, podążając za własnymi marzeniami i celami.

Tak, wszyscy kiedyś od niej odchodzili, a teraz zakochała się w Paulu.

Odkąd wykrzyczała słowa miłości do niego, Andrea nie przestawała zastanawiać się, czy taka deklaracja była tylko spontaniczną reakcją na cudowne przeżycie, które z nim dzieliła, czy też rzeczywiście jest w nim zakochana.

Andrea kochała w nim prawie wszystko. Kochała jego niesamowite męskie piękno, kochała tajemniczą głębię jego niebieskich oczu, a także jego łagodny głos i czuły uśmiech, kochała go za jego współczucie i tolerancję, za wewnętrzną siłę i zrozumienie dla tego, co ludzkie. Kochała nawet to, co odróżniało go od innych mężczyzn. Ale przede wszystkim uwielbiała rozmawiać, śmiać i kochać się z nim.

„Och, tak — pomyślała Andrea, ocierając łzy. — Kocham go z całego serca”

Ale nie znalazła pociechy w tym stwierdzeniu. Jedynym punktem odniesienia dla jej nowej miłości, był związek z Zachem. Dlatego też słowo „miłość”, wiązało się dla niej nieuchronnie z rozczarowaniem, bólem i nieuniknioną zdradą. Wiedziała z własnego, bolesnego doświadczenia, że nieskończenie bezpieczniej jest nie dawać miłości, lecz schować ją głęboko w sobie i uciec w samotność.

Z jej sekretnej, wewnętrznej kryjówki wyrwał Andreę charakterystyczny warkot silnika, fantastycznego samochodu Paula.

„Jakie to dziwne, że ja, która tak ochoczo i z takimi ogromnymi nadziejami oczekuję chwili, w której możliwe staną się podróże w kosmos, mam tak niewiele nadziei na własną, pomyślną przyszłość” — pomyślała Andrea, odwróciła się od okna i ułożyła usta w uśmiech, który miał przywitać jej kochanka.

— Znowu zamykasz się w sobie, moja Andreo — zauważył Paul w tej samej chwili, w której zobaczył jej twarz... a może jej oczy. — Specjalnie dystansujesz się od mnie... od nas.

Andrea zmusiła się do śmiechu, który zabrzmiał sztucznie. Nadrabiając miną, wzruszyła ramionami.

— Ja tylko myślałam.

— O czym? — zapytał, podchodząc do niej.

— Alycia dzwoniła przed chwilą — Andrea nie musiała nic więcej wyjaśniać. Opowiedziała Paulowi wszystko o swoich przyjaciółkach, podczas tych paru tygodni, kiedy się wzajemnie poznawali.

— To dlaczego jesteś smutna? — zapytał Paul, jak zwykle nieomylnie rozpoznając jej stan emocjonalny.

— Nie jestem smutna — skłamała Andrea. — Ja tylko... zamyśliłam się.

Oczy, które na nią patrzyły, wiedziały, że Andrea nie mówi prawdy. Jego westchnienie i łagodny uśmiech powiedziały, że nie zamierza jej dręczyć pytaniami... przynajmniej na razie.

W ciągu następnych dni, dzielących ją od wyjazdu do Arizony, Paul był dla niej wyjątkowo łagodny, a nocami wyjątkowo namiętny.

— Przejdziemy się trochę? — zapytał po zajęciach, w dniu poprzedzającym wyjazd Andrei.

Andrea nie odpowiedziała, tylko wsunęła dłoń w jego rękę. Nie zdziwiła się, gdy poprowadził ją w stronę sosnowego zagajnika. Domyślała się, że chce się z nią pożegnać w ich specjalnym miejscu, chociaż mieli przed sobą jeszcze jedną noc w jej łóżku.

Było łagodne, wczesno listopadowe popołudnie. Chłodny, lecz słaby wiatr niósł zapach jesieni, który budził w Andrei wspomnienia tej pięknej pory roku w jej domu w Pensylwanii.

Ogarnęła ją melancholia. Kiedy weszli na polankę.

uśmiechnęła się smutno. Ponad rok minął, odkąd pierwszy raz zobaczyła to miejsce we śnie. Teraz wydawało się jej, że przydarzyło się to komuś innemu, dawno temu.

— Chodź, kochanie — powiedział cicho Paul. — Czas już iść do domu.

Z opuszczonymi pod wpływem przygnębienia ramionami Andrea automatycznie ruszyła z miejsca, gdy Paul pociągnął ją za rękę. Ale zamiast zawrócić w kierunku uczelni, poprowadził ją dalej tą samą ścieżką.

Niepokój zaczął zakradać się do serca Andrei. Podniosła głowę i rozejrzała się wokół. Jej oczy były czujnie zwięzione.

— Gdzie idziemy? — zapytała, choć znała odpowiedź.

— Do domu — odpowiedział zwyczajnie Paul. Przypomniawszy jej się sen, w którym szła tą ścieżką, czuła wtedy szczęście i zadowolenie. Ale na jawie, Andrea szła niechętnie i była pełna obaw.

A kiedy byli już blisko zakrętu ścieżki, zaczęła ją ogarniać niewytłumaczalna panika. Zapach morza zdominował powietrze. Mewa krzyknęła żałościwie. Andrea straciła kontrolę nad rzeczywistością.

„Prawie tam jestem”

„Prawie jestem w domu”

Wszystko, co jej się przydarzyło, każdy niezwykle wypadek pulsował i wirował w jej głowie.

Chwila, kiedy pierwszy raz zobaczyła Paula przez okno kawiarni.

Jej kochanek ze snów, mówiący jej, że nie ma się czego bać ze strony Paula Hellki.

Niesamowite doznanie na plaży, zanim odkryła, że Paul pływa z rekinami.

Jego niewytłumaczalna umiejętność czytania w myślach.

Oświadczenie Paula, że w ojczyźnie jego ojca nie je się mięsa.

Jego pokaz siły, która wydawała się ponad jego możliwości.

Uwaga Melly: „Może on nie jest człowiekiem”

— Nie! — krzyknęła głośno Andrea i tuż przed zakrętem ścieżki zatrzymała się nagle.

— Andrea. — Spokojny głos Paula nie wyrażał nagany ani pretensji, tylko prośbę o zaufanie.

Cała niepewność i strach, które dotąd tak usilnie od siebie odpychała, wróciły teraz do jej świadomości. Patrzyła na Paula w ten sam sposób, w jaki wpatrywała się w niego tego dnia, kiedy po raz pierwszy zaprowadził ją na polankę. Wykrzyzczała te same pytania:

— Kim jesteś? Kim ty jesteś?

— Jestem twoją Miłością — odpowiedział Paul. — Teraz i zawsze, od dnia, kiedy zostałaś stworzona.

Tego już było za dużo. Andrea przekroczyła już najdalsze granice swojego pojmowania. Nie chciała i nie umiała zaakceptować jego słów — zareagowała dokładnie tak, jak w ostatnim śnie o swojej Miłości. Wyrwała mu się i uciekła, nie zważając na wołanie:

— Andreo! Chodź do domu!

Odgłos silników odrzutowych wywierał na nią usypiający wpływ. Chwilami zapadała w drzemkę, ale na krótko. Zmęczenie nie pozwalało jej na odpoczynek.

Była w drodze do domu, a w każdym razie do domu swojej ciotki w Kalifornii.

Udawanie Andrei, którą znały jej przyjaciółki, wyczerpało prawie doszczętnie jej zasoby energii. Uśmiechnęła się słabo, gdy przypomniła sobie spotkanie z Alicją, Seanem i Karłą. Było ono podwójnie udane dla nich wszystkich, ponieważ wielkie otwarcie galerii Karli okazało się ogromnym sukcesem.

W dodatku Andrea mocno podejrzewała, że w życiu Karli jest, lub wkrótce pojawi się mężczyzna. Chociaż ta upierała się, że nic do niego nie czuje, w jej oczach migotał specyficzny blask, gdy mówiła o imponującym, przystojnym malarzu światowej sławy — Jaredzie Crowsdowgu.

Andreę cieszyło to, że przyszłość jej przyjaciółek rysowała się tak ekscytująco. Ale spoglądając we własną przyszłość, nie dostrzegła nic, prócz dalszej samotności.

Minęło zaledwie kilka dni, odkąd ucieka od Paula, a już tęskniła za nim aż do bólu. Wspomnienia, potrzeba bycia z nim, nieustannie targały serce Andrei. Ból był nie do zniesienia.

Kiedy wylądowała, Paul nie czekał na lotnisku. Chociaż wcześniej umawiali się, że po nią wyjdzie, Andrea nie spodziewała się tego. Miała tylko cichą nadzieję, że może jednak...

Od tamtego popołudnia nie widziała go, nie miała też od niego żadnej wiadomości. Mimo to była pewna, choć nie wiedziała skąd tą pewnością czerpie, że Paul czeka, aż ona wszystko sobie poukłada i rozwiąże swoje wewnętrzne konflikty. Aż zbierze odwagę, aby pójść do niego tam, gdzie na nią czekał: do jego domu na końcu ścieżki — do domu, który określał jej domem.

Była sama. Znowu.

Po powrocie z Arizony Andrea przez kilka tygodni nie wróciła do szkoły, nie widywała się z nikim. Wychodziła tylko po zakupy. Pozostawała w domu i jego najbliższym otoczeniu. Snuła się po pokojach albo spacerowała po małej plaży. Cały czas toczyła bitwę z różnymi obawami — przed zdradą, przed poddaniem się miłości, przed odmiennością Paula od innych mężczyzn.

Święto Dziękczynienia przyszło i minęło nie zauważone przez Andreę. Ochłodziło się i prawie cały czas padał deszcz, ale tego też nie zauważyła, jeśli akurat nie wychodziła na spacer po plaży. Ból tęsknoty nie zmniejszał się, lecz pogłębiał.

W pierwszym tygodniu grudnia do Andrei zadzwoniła Karla. Radośnie zażądała, aby pod koniec tygodnia Andrea znowu przyjechała do Arizony. Wraz z Alicją miała być świadkiem na jej ślubie z Jaredem Crowsowgiem. Śmiejąc się i płacząc razem z przyjaciółką, Andrea obiecała, że przyjedzie.

Chociaż jej wewnętrzna walka trwała długo, Andrea wiedziała już, że miłość do Paula powoli wypiera strach z jej serca. Telefon od Karli przesądził o pokonaniu wszelkich obaw raz na zawsze.

Bo czyż nie Karla właśnie była w ich trójce tą praktyczną, twardo stającą po ziemi? I czy to nie Karla zawsze kategorycznie sprzeciwiała się samemu pomysłowi pokochania mężczyzny na śmierć i życie? Więc jeśli praktyczna, trzeźwo myśląca Karla, nie bała się już dać ponieść skrzydłom miłości, to dlaczego ona, wierząca w możliwość podróży kosmicznych, miałaby obawiać się uczucia?

Nie chciała już dłużej być sama.

Zmierzch skradał się nad ziemią, gdy Andrea dotarła do zakrętu ścieżki. Była spokojna, szczęśliwa, pogodzona z samą sobą. Uśmiechnęła się, słysząc nad głową krzyk mewy. Pasował do sytuacji.

Docierała już prawie na miejsce.

Była już prawie w domu.

Bez najmniejszego strachu, bez sekundy wahania, Andrea minęła zakręt i dalej szła tam, gdzie prowadziła ścieżka. Westchnienie zachwytu i zdziwienia wyrwało się jej z ust, gdy ujrzała dom. Wyglądał jak wykuty w skale klifu. Zbudowany z kamienia i szkła, emanował tym samym zapierającym dech w piersiach pięknem, co jego właściciel.

Paul czekał na nią w otwartych drzwiach.

Andrea bez chwili namysłu przebiegła ostatnie metry, które dzieliły ją od niego, i rzuciła mu się w ramiona.

— Witaj w domu, kochanie — powiedział Paul tym swoim cichym, miękkim głosem. — Tęskniłem za tobą.

— Kocham cię. Kocham cię — wyszeptała Andrea, a on zaniósł ją do swej sypialni.

— Ja też cię kocham, Andreo — powiedział. — Zawsze cię kochałem.

— Kocham cię — wyszeptała znowu.

Rozbierał ją delikatnie i powoli, potem pomagał jej w zdejmowaniu swych własnych rzeczy.

— Kocham cię — powiedział, pocałunkiem rozgniół jej usta i delikatnie położył ją na łóżku.

— Och, Paul, kocham cię! — wykrzyknęła Andrea w kilka chwil później, gdy znowu przekroczyła próg raju.

— Moja Andreo! Moja Andreo! — Jego chrapliwy głos sprawiał jej zmysłową rozkosz.

* * *

Zapadła już noc, gdy Andrea obudziła się z cudownego snu, w którym, trzymając Paula za rękę, szła przez dziwny, nieznany, lecz fantastycznie piękny ląd. Było tam tak oszałamiająco pięknie — ciepło, słońce, mnóstwo zieleni, prawdziwy raj — że przez moment Andrea żałowała, iż sen się skończył. Potem odwróciła głowę i wspomnienie zbladło, przyćmione pięknem mężczyzny, stojącego przy szklanej ścianie i uśmiechającego się do niej... tylko do niej.

— Uśmiechałaś się przez sen, kochanie — powiedział cicho.

— Miałam wspaniały sen — wyjaśniła.

W słabym, nie padającym prosto na niego świetle jego oczy zdawały się błyszczeć wewnętrznym rozbawieniem.

— Sny się spełniają — wyszeptał. — Ja śniłem o tobie... i jesteś tutaj.

— Tak — odpowiedziała Andrea. — Jestem tutaj. I tak naprawdę to jeszcze nie widziałam tego „tutaj”

Nie wstydząc się swojej nagości, Andrea odchyliła przykrywające ją jedwabne prześcieradła i wstała z łóżka.

Paul podał jej krótki szlafrok. Andrea poczuła zmysłowy dreszcz, gdy jedwab musnął jej ciało. Wiedząc, że szlafrok należy do Paula, Andrea owinęła się nim dokładnie. Jego uśmiech i wyraz oczu powiedziały jej, iż wiedział, co odczuwa.

Ciekawa domu, Andrea rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok przykuła ogromna torba podróżna, która leżała na niskim kufrze przy ścianie. Spojrzała na Paula pytająco.

— Otrzymałem wiadomość od ojca — rzekł w odpowiedzi na nieme pytanie. — Muszę wrócić do mojej ojczyzny.

Andrea wpatrywała się w niego, oszołomiona.

— Jedź ze mną, kochanie. Paul wyciągnął do niej rękę.

— Kochaj mnie tak, jak ja kocham ciebie. Jedź ze mną. Zaufaj mi.

Andrea wahała się przez moment. Nie wiedziała, dokąd on chce ją zabrać. Nie wiedziała, czy chce, żeby z nim jechała do Grecji, czy... Andrea nic nie wiedziała.

I nie dbała o to.

Zdecydowała się być ze swoim ukochanym. Jej niepewność minęła.

Uśmiechając się do niego, wsunęła palce w jego wyciągniętą dłoń. Był to gest bezgranicznego zaufania.

RS

EPILOG

Wystrój restauracji utrzymany był w stylu stonowanej elegancji. Kelnerki i kelnerzy w czerni przemykali cicho i sprawnie pomiędzy stolikami, przy których siedzieli dobrze ubrani stali bywalcy. Wszędzie rozlegał się szmer grzecznych, spokojnych rozmów.

Przy okrągłym stoliku stojącym obok dużego okna, przystojny szatyn w ciemnym garniturze uniósł wysoki kieliszek w kierunku pary siedzącej naprzeciwko niego, a potem ku kobiecie siedzącej przy nim.

— Za wasze zdrowie, szczęście i długie lata owocnej współpracy artystycznej! — powiedział Sean Halloran w toaście na cześć młodej pary.

— Za wasze szczęście! — powiedziała Alycia Halloran, unosząc swój kieliszek do ust.

Jared Cawdowg i jego świeżo poślubiona żona, przedtem Karla Janowitz, uśmiechali się do siebie, sącząc wino.

— Dziękujemy, Sean — powiedział Jared, czyniąc kieliszkiem gest w stronę drugiej pary. — I za wasze szczęście!

— To był piękny ślub — powiedziała Alycia rozmarzonym głosem.

— Tak — potwierdziła Karła. — Tylko jednego brakowało, aby mógł być absolutnie idealny.

— Obecności Andrei — powiedziała Alycia wzdychając.

— Dlaczego jej tu nie ma? — zdziwiła się Karła, pamiętając o solennej obietnicy przyjazdu, danej przez Andreę.

— Gdzie ona jest? — niepokoiliła się Alycia, mając w pamięci wciąż ponawiane próby dodzwonienia się do domu Andrei w Kalifornii.

Mężczyźni odezwali się równocześnie.

— Kochanie, postaraj się nie martwić... — zaczął Sean.

— Karła, najdroższa, jestem pewien, że wszystko... — zaczął Jared.

Obu im przerwał kelner, który z ukłonem zatrzymał się przy nich i zabrał ze stołu ledwie napoczętą butelkę wyśmienitego krajowego szampana oraz kieliszki.

— Chwileczkę, przecież... — zaprotestował Jared.

— Co tu się dzieje? — zapytał Sean.

— Panie i panowie — odezwał się kelner — polecono mi podać państwu to wino.

W tym miejscu wyszukany gestem pokazał im butelkę znanego, bardzo drogiego, importowanego szampana.

Zdezorientowani przyjaciele popatrzyli z niedowierzaniem wpierw na butelkę, a potem na siebie. Kelner rozlał musujący płyn do czystych kieliszków. Kiedy napełnił wszystkie do połowy, umieścił butelkę w wiaderku z lodem i pokazał im białą kopertę.

— Poproszono mnie, abym dał to państwu razem z winem.

Obrócił się ceremonialnie i odszedł. Kopertę dostał Sean, który siedział najbliżej kelnera. Unosząc brwi ze zdziwieniem, patrzył na nią z wahaniem.

— Równie dobrze możesz zobaczyć, co jest w środku — poradził Jared.

— Racja — zgodził się Sean i rozerwał kopertę. Wyjął z niej pojedynczą kartkę i przeczytał jej treść na głos: „Drodzy przyjaciele. Proszę, przyjmijcie tę butelkę szampana dla uczczenia dzisiejszego wydarzenia. Przepraszam, że was zawiodłam. Karla i Jared, życzę Wam takiej miłości i takiego szczęścia, jakie są udziałem Alicji i Seana. Chociaż nie mogę być z Wami osobiście, wiedzcie, że myślę o Was i kocham Was wszystkich”

— Andrea — wyszeptała Alicja, kiedy Sean przerwał, aby na nich spojrzeć.

— Ale gdzie ona jest? — zawołała Karla, chwytając Jareda za rękę. Sean odszukał miejsce, w którym przerwał i zaczął czytać dalej: „Wiem, że prawdopodobnie martwicie się o mnie, ale zapewniam Was, że nie ma ku temu powodów. Bo ja też świętuję dziś wieczór. Jestem z mężczyzną, którego kocham. Ma na imię Paul... i jest dla mnie wszystkim. Radujcie się moim 'Szczęściem, jak ja cieszę się Waszym. Pozdrawiamy Was z Paulem serdecznie, Andrea”.

Sean odłożył list.

Wokół stolika zapanowała cisza. Łzy spływały po policzkach kobiet i błyszczały w oczach mężczyzn. Wreszcie Alicja wolno wzniosła w górę swój kieliszek.

— Za Andree i jej Paula — powiedziała kobieta, która wierzyła w przeszłość. — Niech zawsze się kochają.

Karla podniosła kieliszek drżącymi palcami.

— Za Andree i Paula — powiedziała kobieta, która mocno tkwiła w teraźniejszości. — Za wszystkie ich jutra, gdziekolwiek będą.

Spotkanie czterech kieliszków nad stołem, odbiło się w szybie okna, za którym widoczne było czarne, jesienne niebo, usiane jaskrawo migoczącymi gwiazdami.

* * *

Mężczyzna i kobieta, stojąc ramie przy ramieniu, opierali się o barierkę na odkrytym pokładzie luksusowego statku pasażerskiego. Podziwiali panoramę nocnego nieba, mieniącego się milionami gwiazd. Kobieta popłakiwała cicho, nie ze smutku, lecz z radości. W rękę trzymała mały kawałek białego papieru. Wiadomość na nim napisana, była krótka: „Droga Ciociu Celio i Wuju Blainie! Kocham Was. Jestem szczęśliwa. Paul opiekuje się mną. Andrea!

RS